Cena 25 zł.

KUŹNICA

Rok IV Łódź, 5 września 1948 r. Nr 36 (157)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Wpisano do kontroli periodyków (Miejskiej), wypożyczalni książek dla dorosłych
dn. ..... 19..... r.

„Militaryzm ma, jak wiadomo, swe źródła nie tylko w zewnętrznej, ale i wewnętrznej polityce rządów. Dopóki reprezentują one klasy, uciskające inne klasy, narodowości, uciskające inne narodowości, dopóty nie może on być zmieniony ani poważnie zmniejszony".

Kazimierz Kelles Krauz

TREŚĆ NUMERU:

MAKSYM GORKI — **MIASTO ŻÓŁTEGO DIABŁA**

PAUL ELUARD — **WŁOSY TWOJE Z POMARAŃCZY**

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI — **REWOLUCJONIZUJĄCA KSIĄŻKA**

JERZY WYSZOMIRSKI — **„JEST U MNIE KRAJ, OJCZYZNA MYŚLI MOJEJ..."**

KAZIMIERZ BRANDYS — **ANTYGONA**

JERZY KAMIL WEINTRAUB — **WIERSZE**

CELINA BOBIŃSKA — **STASZYC NA TLE SWEJ EPOKI**

ARTUR SANDAUER — **PROBLEMY FRANCUSKIE**

STEFAN FLUKOWSKI — **Z TEATRÓW KRAKOWSKICH**

K. W. ZAWODZIŃSKI
LEON GOMOLICKI — **POLEMIKA W SPRAWIE DEKABRYSTÓW**

PRZEGLĄD PRASY

NOTY

MAKSYM GORKI

tłum. Barbara Rafalowska

MIASTO ŻÓŁTEGO DIABŁA *)

NAD OCEANEM i ziemią zawisła mgła gęsto przetykana dymem, drobny deszcz padał leniwie na ciemne gmachy miasta i mętną wodę zatoki. U burt okrętów zebrali się emigranci, w milczeniu patrzący przed siebie badawczym wzrokiem nadziei i obaw, lęku i radości.

— Kto to? — cicho zapytała jakaś dziewczyna, Polka, wskazując ze zdziwieniem na posąg wolności. Ktoś odpowiedział:

— Amerykański bóg...

Masywna kobieta z brązu pokryta jest od stóp do głów zieloną śniedzią. Zimna twarz patrzy ślepymi źrenicami w pustynię oceanu, jak gdyby brąz oczekiwał słońca, które ożywi martwe oczy. Pod stopami wolności tylko skrawek ziemi, rzekłbyś wyłonionej z oceanu; cokół wygląda jak zastygłe fale. Ręka wysoko podniesiona nad wodą i masztami okrętów, ruchem pełnym dumy i piękna. Wydaje się, że pochodnia, która posąg ściska w dłoni, zapali się lada chwila jasnym płomieniem, rozproszy szary dym i rozleje na wszystkie strony gorące, radosne światło.

Wokół nikłego skrawka ziemi, na którym stoi, jak przedpotopowe potwory suną olbrzymie żelazne okręty; jak wygłodniałe drapieżne zwierzęta ukazują się i znikają małe kutry. Syreny wyją głosami mitycznych olbrzymów, rozlegają się wściekłe gwizdy, zgrzytają łańcuchy kotwiczne, surowo pluskają fale. Wszystko dokoła pędzi, śpieszy się, natęża i drga. Śruby i koła okrętów z pośpiechem biją żółtą wodę, spienioną i pooraną zmarszczkami.

I wydaje się, że wszystko — żelazo, kamienie, woda, drzewo — buntuje się przeciwko temu życiu, bez słońca, bez pieśni i szczęścia, w jarzmie ciężkiej pracy. Wszystko jęczy, wyje, zgrzyta, posłuszne woli jakiejś tajemniczej siły, wrogiej człowiekowi. Wszędzie na powierzchni wody, zrytej i rozdartej żelazem, brudnej od tłustych plam nafty, zaśmieconej szczapami wiórami, słomą i resztkami jedzenia — pracuje niedostrzegalna dla oka zimna i zła siła. Bezlitośnie i niezmordowanie porusza ona tę całą nieogarnioną maszynę, w której okręty i doki są tylko drobnymi częściami, a człowiek — nędzną śrubką, niedostrzegalnym punktem pośród potwornych, brudnych wiązadeł żelaza, drzewa, w chaosie okrętów, łodzi i płaskich bark naładowanych wagonami .

Zahukany, ogłuchły od wrzasku, oszołomiony tańcem martwej materii, cały w kopciu i smarach — dwunogi stwór spogląda na mnie dziwnym wzrokiem, wsunąwszy ręce w kieszenie spodni. Na twarzy jego pokrytej gęstą warstwą tłustego brudu połyskują nie oczy żywego człowieka lecz biała emalia zębów. Wśród tłumu statków powoli sunie okręt. Twarze emigrantów poszarzałe, otępiałe wszystkie mają ten sam owczy wyraz. Ludzie stoją u burty i milcząc patrzą w mgłę; stopniowo wyłania się z niej coś okropnego, pełnego jęku — zionie cuchnącym oddechem, ogłusza szumem, w którym słychać groźbę i zachłanność: to miasto, to Nowy Jork. Na brzegu stoją dwudziestopiętrowe domy, milczące i ciemne drapacze chmur, Kwadratowe, bez śladu myśli o pięknie, piętrzą się ponure, nudne i ciężkie gmachy, dumne ze swej wysokości i brzydoty. W oknach nie ma kwiatów i nie widać dzieci...

Z daleka to miasto robi wrażenie olbrzymiej szczęki o nierównych czarnych zębach. Zieje do nieba chmurami dymu i sapie jak żarłok cierpiący na otłuszczenie.

Gdy wkraczasz do miasta, wydaje się, żeś się znalazł w żołądku z kamienia i żelaza, w żołądku, który połknął kilka milionów ludzi, przeżuwa ich i trawi.

Ulica — to śliskie, żarłoczne gardło; przez nie płyną gdzieś w głąb ciemne kawałki żeru miasta — żywi ludzie.

Wszędzie — nad głową, pod nogami i obok ciebie żyje i upaja się swym triumfem zwycięskie żelazo. Powołane do życia siłą złota, ożywione przez nie, omotuje człowieka, ogłusza go, wysysa krew i mózg, pożera mięśnie i nerwy, rośnie w oparciu o milczący kamień, zataczając coraz szerzej i szerzej ogniwa swego łańcucha.

Podobne do olbrzymich robaków pełzną lokomotywy, wlokąc za sobą wagony, kwaczą jak tłuste kaczki sygnały samochodów, ponuro wyje elektryczność, duszne powietrze jak gąbka wodą przepojone jest tysiącem dźwięków; przygniecione w tym brudnym mieście, zanieczyszczone dymem fabryk — znieruchomiało wśród wysokich ścian pokrytych sadzą.

Na placach i niewielkich skwerach, gdzie liście pod warstwą pyłu zwisają martwo na gałęziach wznoszą się ciemne pomniki. Ich twarze pokrywa gruba warstwa brudu, oczy płonące niegdyś miłością ku ojczyźnie przysypał kurz miasta. W labiryncie wielopiętrowych domów martwi i samotni są ci ludzie z brązu. Na tle ciemnych i wysokich murów wydają się karłami, które wśród otaczającego szaleństwa przystanęły i półślepe patrzą ze smutkiem w sercu na zaaferowany tłum u swych stóp. Ludzie, mali i czarni przebiegają obok pomników i nikt nie spogląda w twarz bohatera. Ichtiozaury kapitału wyparły twórców wolności z pamięci żyjących.

Wydaje się, że ludzi z brązu przytłacza ta sama ciężka myśl:

— Czy takie życie chcieliśmy stworzyć?

Dokoła kipi jak zupa w garku gorączkowe życie, drobne figurki ludzkie biegną, kręcą się i znikają w tym wrzątku niby okruchy w bulionie, niby wiórki w morzu. Miasto ryczy i połyka je po kolei w nienasyconą paszczę. Jeden z bohaterów opuścił ręce, inni wznieśli je w górę, nad głowami ludzi, ostrzegając:

— Stójcie! To nie życie, to szaleństwo...

Są zbędni w chaosie ulic, wytrąceni z równowagi rykiem pożądliwości, ale zaklęci w tę ponurą fantazję z kamienia, szkła i żelaza.

Pewnej nocy zejdą z piedestałów i ciężkim krokiem skrzywdzonych przejdą ulicami miasta unosząc smutek swej samotności daleko w pole, gdzie świeci księżyc, gdzie jest powietrze, cisza i spokój. Jeśli ktoś całe życie pracował dla dobra ojczyzny — zasłużył przecież na spokój po śmierci.

Po trotuarach śpieszą we wszystkich kierunkach ludzie. Wsysają ich głębokie wyrwy w kamiennych murach. Tryumfujący huk żelaza, gromkie wycie elektryczności, donośny stukot robót przy budowie nowej sieci ze stali, nowych murów z kamienia — wszystko to zagłusza głosy ludzi, jak burza nad oceanem zagłusza krzyk ptaków.

Twarze ludzi są nieruchome i spokojne — widać nikt z nich nie czuje, że jest niewolnikiem życia, żerem miasta-potwora. Z melancholijną pewnością siebie uważają się za panów swego losu, w oczach ich płonie czasami poczucie niezależności, ale nie rozumieją widocznie, że to tylko niezależność topora w rękach cieśli, młota w rękach kowala, cegły w rękach murarza, który uśmiechając się chytrze buduje dla wszystkich jedno wielkie i ciasne więzienie. Widać wiele twarzy pełnych energii, ale w każdej przede wszystkim zęby. Nie ma w ich oczach wewnętrznej swobody, swobody ducha. Ich żywotność bez wolności przypomina zimny błysk noża, który nie zdążył stępieć. To wolność ślepych narzędzi w rękach Żółtego Diabła — Złota.

Widzę po raz pierwszy tak potworne miasto i nigdy jeszcze ludzie nie wydawali mi się tak uciemiężeni, tak nędzni. Nigdy też nie widziałem ludzi tak tragikomicznie zadowolonych z siebie, jak ci w nienasyconym i brudnym żołądku skretyniałego żarłoka, który z bydlęcym rykiem pożera mózgi i nerwy.

Boleśnie i strasznie jest mówić o ludziach. Wagon kolejki nadziemnej mknie wyjąc i hucząc po szynach, między ścianami domów wąskiej ulicy, na wysokości trzecich pięter, jednostajnie omotanych żelaznymi kratami balkonów i schodów. Okna są otwarte i prawie w każdym z nich postaci ludzkie. Niektóre pracują, szyją lub liczą pochyliwszy głowy nad biurkami, inne siedzą po prostu przy oknach, oparte o futryny, wpatrzone w wagony, które co chwila przebiegają przed ich oczyma. Starzy, młodzi i dzieci — wszyscy są jednakowo milczący, jednakowo spokojni. Przywykli dążyć bez celu, przywykli do myśli, że tu jest cel. W oczach nie mają gniewu przeciw władztwu żelaza, nie widać nienawiści do jego triumfu. Przebiegające wagony wstrząsają ścianami domów — drżą piersi kobiet, głowy mężczyzn, dzieci w klatkach balkonów drżą także, przywykając do myśli, że takie życie jest nomalne i nieuniknione. Przy ustawicznych wstrząsach mózg traci najwidoczniej zdolność snucia śmiałych myśli, nie potrafi rodzić zuchwałych marzeń. Oto mignęła ciemna twarz starej kobiety w brudnym kaftanie, rozpiętym na piersiach. Pociąg uderzył w okna pędem zatrutego powietrza, siwe włosy na głowie kobiety zatrzepotały jak skrzydła szarego ptaka. Przymknęła ołowiane, zagasłe oczy i znikła.

W mętnym wnętrzu pokojów zjawiają się żelazne pręty łóżek, pokrytych łachmanami, brudne naczynia i resztki jedzenia na stołach. Chciałoby się ujrzeć w oknach kwiaty, człowieka z książką w ręku. Ściany przelewają się przed oczami jak roztopione, płyną brudnymi potokami, w których szybkim nurcie roją się beznadziejnie milczący ludzie.

Łysa czaszka ukazała się mgliście za szybą pokrytą warstwą kurzu. Pochyla się jednostajnie nad jakimś warsztatem. Ruda, szczupła dziewczyna siedzi na oknie i robi pończochę, licząc ruchy drutów, ciemnymi oczami. Pęd powietrza pchnął ją do wnętrza pokoju — nie oderwała oczu od pracy, nie poprawiła rozwianej sukni. Dwaj mali chłopcy, może pięcioletni, budują na balkonie dom z drewek. Rozpadł się od wstrząsu. Dzieci nie zastanawiając się nad przyczyną tego zamieszania, chwytają drobnymi rączkami kawałki drzewa, aby nie wyleciały na ulicę przez kraty balkonu. Twarze jedne za drugą przelatują w oknach jak odpryski wielkiego ciała roztarte na proszek.

Powietrze, które gnają opętane szybkością wagony, rozwiewa ubrania i włosy ludzi, smaga twarze ciepłą i duszną falą, wtłacza w uszy tysiące dźwięków, oślepia oczy miałkim, gryzącym pyłem, ogłusza przeciągłym wyciem...

Człowiekowi, który żyje, myśli, jest twórcą marzeń i obrazów, który pragnie, tęskni, przeczy i czeka, przeszkadzałoby to dzikie wycie, pisk, ryk, dygotanie murów i lękliwe drżenie szyb. Doprowadzony do ostateczności wyszedłby z domu i zniszczył tę ohydę — nadziemną kolejkę; zmusiłby do milczenia brutalne żelazo, — on, pan życia, gdyż życie jest dla niego i wszystko to, co przeszkadza żyć, musi ulec zniszczeniu. Ludzie w mieście Żółtego Diabła znoszą jednak ze spokojem wszystko, co zabija człowieka.

W dole, pod żelazną siecią kolejki nadziemnej, w pyle i błocie jezdni mijają się milczące dzieci — milczące, bo chociaż śmieją się i krzyczą, podobne do dzieci na całym świecie, głosy ich toną w huku jak krople deszczu w morzu. Wydaje się, że to kwiaty, które czyjaś nieczuła ręka wyrzuciła z okien domów w uliczne błoto. Oddychają tłustymi wyziewami miasta, są blade i żółte, krew ich jest zatruta, nerwy roztrzęsione zgrzytami zardzewiałego metalu, wyciem ujarzmionych błyskawic.

Czyż wyrosną z tych dzieci zdrowi, odważni, dumni ludzie? W odpowiedzi na to pytanie słyszysz zewsząd zgrzyt, śmiech, zły pisk.

Wagony mkną obok West - Side'u, dzielnicy nędzarzy, śmietnika miasta. Głębokie kanały ulic prowadzą gdzieś w głąb, gdzie oczami wyobraźni można dostrzec olbrzymią jamę bez dna, kocioł czy rondel. Tam płyną ci wszyscy ludzie i tam przetapiają ich na złoto. Kanały ulic roją się od dzieci. Wiele widziałem nędzy, znam dobrze jej zieloną, kościstą twarz bez kropli krwi. Jej oczy stępiałe z głodu i płonące żądzą, chytre i mściwe lub niewolniczo pokorne a zawsze nieludzkie — widziałem wszędzie, ale potworność nędzy West-Side'u przechodzi najczarniejsze za znanych mi obrazów.

Na tych ulicach, wypchanych ludźmi jak worki kaszą, dzieci łapczywie przeszukują kosze ze śmieciami, stojące na trotuarach, wygrzebują zgniłe jarzyny, pożerają je razem z pleśnią, w gryzącym pyle i zaduchu.

Znaleziona skórka zgniłego chleba wywołuje dziką nienawiść; aby ją zjeść walczą o nią jak małe psiaki. Jak żarłoczne gołębie pokrywają jezdnię; o pierwszej w nocy, o drugiej i później — wciąż jeszcze myszkują w brudzie, żałosne mikroby nędzy, żywy wyrzut za zachłanności bogatych niewolników Żółtego Diabła.

Na rogach brudnych ulic stoją jakieś piecyki czy kuchenki, coś się na nich gotuje, para uchodzi na zewnątrz przez cienką rurkę i mały gwizdek umieszczony na jej końcu. Cienki, przeraźliwy gwizd przecina drżącym ostrzem hałas ulicy, ciągnie się w nieskończoność jak oślepiająco biała, zimna nić, okręca się dokoła gardła, mąci myśli w głowie, doprowadza do szaleństwa, dokądś goni i nie milknąc ani na sekundę drży w odorze zgnilizny, przenikającym powietrze, drży, wyszydza to życie w bagnie.

Bagno — żywioł, który przepaja wszystko: ściany domów, szyby okienne, ubranie ludzi, pory ich ciała, mózgi, pragnienia, myśli...

Na tych ulicach ciemne wnęki drzwi podobne są do ropiejących ran w murze. Jeśli wejrzysz w nie, ujrzysz brudne stopnie schodów, pokryte śmieciami, wydaje się, że wewnątrz wszystko jest w stanie rozkładu i gnije jak wnętrzności trupa. Ludzie przypominają robaki...

Wysoka kobieta z wielkimi ciemnymi oczyma stoi przy drzwiach, na rękach trzyma dziecko, bluzkę ma rozpiętą, bezsilnie opadła jej workowata sina pierś. Dziecko krzyczy drapiąc palcami zwiędłe ciało matki, dotyka twarzyczką, cmoka, cichnie na chwilę, krzyczy znowu przeraźliwie, rączkami i nóżkami bije pierś matki. Ona stoi jak wykuta z kamienia, okrągłymi jak

*) „Miasto Żółtego Diabła" należy do cyklu artykułów napisanych w r. 1906 podczas pobytu Gorkiego w USA.

u sowy oczami wpatruje się z uporem w jeden punkt przed siebie. Czujesz, że to spojrzenie nie potrafi dojrzeć niczego prócz chleba. Mocno zacisnęła usta i oddycha nosem; nozdrza, wdychając cuchnące, gęste powietrze ulicy — drgają; ten człowiek żyje wpomnieniami o tym co zjadł wczoraj, marzy o kęsie, który może przełknie kiedyś. Dziecko krzyczy, drżąc konwulsyjnie maleńkim żółtym ciałkiem, a ona nie słyszy jego krzyków, nie czuje uderzeń.

Starzec, wysoki i chudy, z drapieżną twarzą, bez kapelusza na siwej głowie, zmrużywszy czerwone powieki chorych oczu, rozgrzebuje ostrożnie stos śmieci, wybierając kawałki węgla. Kiedyś ktoś się do niego zbliża, odwraca się z drapieżnym spojrzeniem i coś mamrocze.

Młodzieniec, bardzo blady i chudy, opierając się o słup latarni, patrzy szarymi oczami wzdłuż ulicy i potrząsa od czasu do czasu kędzierzawą głową. Ręce wsunął głęboko w kieszenie spodni i kurczowo porusza palcami...

Tutaj na tych ulicach widzi się człowieka, słyszy się jego głos, wściekły, nerwowy, mściwy. Tutaj człowiek ma twarz — głodną, podnieconą, pełną rozpaczy. Widać, że ludzie czują, widać, że myślą. Roją się w brudnych ściekach, ocierając się o siebie niby śmiecie w potoku mętnej wody; wprawia ich w wir ,obraca nimi siła głodu, ożywia ostre pragnienie: zjeść cokolwiek. W tym oczekiwaniu, w marzeniach o rozkoszy sytości — połykają nasycone jadami powietrze i w ciemnych głębiach ich dusz rodzą się ostre myśli, chytre uczucia, występne pragnienia.

Są jak bakterie chorobotwórcze w żołądku miasta; przyjdzie czas, że zatrują je tymi właśnie jadami, którymi miasto tak szczodrze karmi ich teraz!

Młodzieniec u latarni potrząsa od czasu do czasu głową, zacisnąwszy mocno głodne zęby. Wydaje mi się, że rozumiem o czym myśli, czego pragnie — chciałby mieć olbrzymie ręce o straszliwej sile i skrzydła u ramion po to, by pewnego dnia unieść się nad miastem, opuścić ręce na podobieństwo dwóch dźwigni ze stali, obrócić w nim wszystko w stos śmiecia i pyłu, — zmieszać cegły i perły, złoto i ciała niewolników, szkło i milionerów, brud, idiotów, świątynie, drzewa zatrute pyłem i te głupie drapacze chmur, wszystko, całe miasto — w kupę, w ciasto z brudu i ludzkiej krwi — w obrzydliwy chaos. To straszliwe pragnienie jest w mózgu młodzieńca tak naturalne jak wrzód na ciele charłaka. Gdzie istnieje praca niewolników, tam nie ma miejsca dla wolnej twórczej myśli, tam mogą kwitnąć jedynie myśli burzycielskie, jadowite kwiaty zemsty, bujny protest zwierzęcia. I to jest zrozumiałe — wykrzywiając duszę człowieka, ludzie nie powinni oczekiwać od niego zmiłowania. Człowiek ma prawo do zemsty, to prawo dają mu ludzie.

Na mętnym, zasnutym kopciem niebie gaśnie dzień. Olbrzymie domy mroczniejąc, rosną, stają się ciężkie. Gdzieniegdzie w ich ciemnych wnętrzach zapala się światło i płonie jak żółte oczy dziwacznych zwierząt, które muszą całą noc stać na straży martwego bogactwa tych grobowców. Ludzie kończą dzienną pracę i nie myśląc o tym, w jakim celu została dokonana, czy jest im potrzebna, biegną spać. Trotuary zalewa ciemny potok ciał. Na głowach jednakowe okrągłe kapelusze, a wszystkie mózgi — widać to po oczach — już śpią. Praca skończona, nie ma o czym myśleć, wszystkie myśli są dla pracodawcy, o sobie nie ma co myśleć; jeśli jest praca — będzie chleb i tanie rozkosze życia; niczego więcej nie pragnie człowiek w mieście Żółtego Diabła.

Ludzie idą do swych łóżek, do swych kobiet, do swych mężczyzn i nocą w dusznych pokojach spoceni i śliscy od potu będą ściskać się, by zrodził się dla miasta nowy, świeży żer...

Idą — nie słychać śmiechu ani wesołych rozmów, nie błyszczą uśmiechy.

Kraczą sygnały automobilowe, strzelają z bata furmani, ciężko śpiewają przewody elektryczne, huczą wagony. Gdzieś dalej słychać muzykę. Chłopcy wykrzykują donośnie nazwy gazet. Ordynarne dźwięki katarynki i czyjś jęk zlewają się w tragikomiczny uścisk zabójcy i jarmarcznego błazna. Małe sylwetki ludzkie płyną bez woli jak kamienie staczające się z góry...

Zapala się coraz więcej żółtych świateł. całe ściany płoną słowami o piwie, o whisky, o mydle, nowej brzytwie, kapeluszach, cygarach, teatrach. Huk żelaza pędzonego wzdłuż ulic chciwymi pchnięciami złota nie cichnie. Teraz, kiedy wszędzie płoną światła, ten niemilknący wrzask potężnieje, nabiera nowego znaczenia i nowej siły.

Ze ścian domów, z szyldów i okien restauracji płynie oślepiający blask roztopionego złota. Bezczelny, krzykliwy iskrzy się wszędzie z triumfem, razi oczy, wykrzywia twarze swym zimnym blaskiem. Jego migotanie wyciąga pożądliwie z kieszeni ludzi nędzne okruchy ich zarobku, z migotliwych błysków tworzy ogniste słowa i wzywa nimi robotników do tanich rozkoszy i wygód...

W tym mieście jest straszliwie wiele ognia! Z początku wydaje się, że jest piękny, że podnieca i raduje. Ogień — wolny żywioł, dumne dziecię słońca. Kiedy bujnie rozkwita — kwiaty jego drżą i kwitną piękniej niż wszystkie kwiaty na ziemi. Oczyszcza życie, niszczy wszystko co zwiędło, umarłe i brudne.

Ale kiedy w tym mieście patrzysz w ogień uwięziony w przezroczystych celach ze szkła, pojmujesz — że tutaj — ogień jak wszystko inne jest niewolnikiem. Służy Złotu, dla Złota jest wrogi ludziom i obcy w stosunku do nich. Tak jak wszystko — żelazo, kamień, drzewo, ogień jest również w zmowie przeciw człowiekowi i oślepiając go woła:

— Chodź tu!

Zachęca:

— Daj mi twoje pieniądze!...

Ludzie idą na jego zew, kupują niepotrzebną tandetę i przyglądają się ogłupiającym widowiskom.

Wydaje się, że gdzieś w samym środku miasta wiruje zawrotnie, szybko, skowycząc przejmująco, wielka bryła złota. Sieje po ulicach drobne pyłki, a ludzie szukają ich i chciwie chwytają je przez cały dzień. Ale gdy zapada wieczór bryła złota zaczyna ruch wirowy w przeciwnym kierunku, tworząc zimny ognisty wicher, który pociąga ludzi, aby zwrócili złoty pył zdobyty we dnie. Oddają zawsze więcej niż wzięli i rankiem następnego dnia objętość złotej bryły rośnie, wirowanie jest coraz szybsze, coraz głośniejsze jest triumfujące wycie żelaza, jej niewolnika i łoskot wszystkich sił ujarzmionych przez złoto.

I chciwiej, bardziej władczo niż dnia poprzedniego wysysa krew i mózg ludzi, aby pod wieczór ta krew i mózg przekształciły się w zimny, żółty metal. Bryła złota — to serce miasta. W jego biciu mieści się całe życie, we wzroście objętości — cały jego sens. Po to ludzie całymi dniami kopią, kują żelazo, budują domy, wdychają dym fabryczny, wchłaniają porami ciała brud zatrutego powietrza, po to sprzedają się.

Te potworne czary usypiają ich dusze, czynią z ludzi podatne narzędzia w rękach Żółtego Diabła, rudę, z której on nieprzerwanie wytapia złoto, będące jego ciałem i krwią.

Z pustyni oceanu idzie noc, dyszy na miasto ożywczym, słonym tchnieniem. Tysiącami strzał wpijają się w nią zimne ognie; noc okrywa współczująco brzydotę domów, ohydę wąskich ulic, zasłania brud nędzarskich łachmanów. Jęk głodnego niemowlęcia płynie jej na spotkanie, zakłócając ciszę — noc gasi powoli bezwstydny blask ujrzamionego miasta, kładąc swą miękką dłoń na jego ropiejące rany. Ale gdy wkracza w labirynt ulic nie znajduje dość sił aby odnieść zwycięstwo, rozegnać swym tchnieniem trujące wyziewy. Ociera się o mury z kamienia, nagrzane przez słońce, pełznie po zardzewiałym żelazie dachów, po błocie jezdni, nasiąka trującym pyłem, wdycha zapachy i z opuszczonymi skrzydłami kładzie się bezsilnie na dachy domów i kanały ulic. Pozostała z niej tylko ciemność, znikły świeżość i chłód pochłonięte przez kamień, żelazo, drzewo, brudne płuca ludzkie. Nie ma w niej już ciszy, nie ma poezji... Miasto zasypia w zaduchu, warczy jak olbrzymie zwierzę. Zbyt nażarło się we dnie, jest mu gorąco, niewygodnie ma złe, ciężkie sny.

Ogień gaśnie drżąc, odsłużywszy swą rolę prowokatora i lokaja reklamy. Kamienne wnętrza domów wsysają ludzi jednego za drugim. Chudy, wysoki zgarbiony człowiek stoi na rogu ulicy i powoli wykręcając głowę patrzy bezbarwnymi oczami w prawo i w lewo. Dokąd iść? Wszystkie ulice są jednakowe i wszystkie domy patrzą na siebie bielmami okien jednakowo obojętnych i martwych...

Drżąca tęsknotą ręka ściska ciepłą ręką gardło, tamując oddech. Nad dachami domów stoi nieruchomo przezroczysty obłok dziennych wyziewów przeklętego, nieszczęsnego miasta. Poprzez tę zasłonę w niedosiężnej wysokości niebios migocą mglisto ciche gwiazdy.

Człowiek zdjął kapelusz, podniósł głowę, patrzy w górę. Wysokość domów w tym mieście odepchnęła niebo dalej od ziemi niż gdziekolwiek. Gwiazdy są drobne, samotne... W dali słychać trwożliwy dźwięk miedzianej trąbki. Długie nogi człowieka dziwnie drgnęły; wchodzi w jedną z ulic, stąpa powoli pochyliwszy głowę i wymachując rękami. Jest późno, ulice pustoszeją. Samotne drobne postacie znikają jak muchy wsiąkając w ciemność. Na rogach stoją nieruchomo policjanci w szarych czapkach, z pałkami w rękach. Żują tytoń poruszając powoli szczękami.

Człowiek przechodzi obok nich, obok słupów telefonicznych i mnóstwa czarnych drzwi w murach domów — czarnych drzwi o sennie rozdziawionej kwradratowej paszczy. *Gdzieś daleko huczy i wyje wagon* tramwajowy. Noc udusiła się w głębokich kanałach ulic, noc umarła.

Człowiek idzie miarowo poruszając nogami i kołysząc długim zgarbionym ciałem. Jest w jego postaci jakieś głębokie zamyślenie przed decyzją.

To pewno złodziej.

Przyjemnie jest widzieć człowieka, który czuje, że żyje w czarnej sieci miasta.

Otwarte okna wydychają mdły zapach ludzkiego potu.

Niezrozumiałe, głuche tony sennie błąkają się w dusznych ciemnościach...

Ponure miasto Żółtego Diabła zasnęło i bredzi przez sen.

tłum. **Barbara Rafałowska**

PAUL ELUARD

WŁOSY TWOJE Z POMARAŃCZY...

Włosy twoje z pomarańczy w pustce świata
W pustce szyb, ciężarnych ciszą
I cieniem, w którym nagie moje dłonie
szukają wszystkich Twych odbić.

Chimeryczny jest kształt twego serca
A miłość twoja podobna do żądzy, którą
straciłem.
O westchnienia ambrowe, rojenia, spojrzenia.

Aleś nie zawsze była ze mną. Pamięć moją
Mrok zalega jeszcze od tego, żem widział
Jak przyszłaś i odeszłaś. Czasowi
Słowa służą, jak służą miłości.

przełożył **Allan Kosko**

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI

REWOLUCJONIZUJĄCA KSIĄŻKA *)

UWAGI OGÓLNE

BOGATA w treść i odkrywcze myśli ostatnia praca Chałasińskiego nie jest książką tylko dla fachowców. Dlatego należy się jej szersze omówienie także w piśmie literackim.

Jak wynika z tytułu omawiana rozprawa zajmuje się problemami pedagogicznymi. Już podtytuł mówi, że nie są to jednak tradycyjne wzniosłe refleksje na temat wiecznych ideałów wychowania, wiecznych dóbr kształcących i wiecznych praw rozwoju osobowości — ale, że problematyka książki dotyczy określonego, konkretnego społeczeństwa, społeczeństwa współczesnego, w którym zagadnienia wychowania są również historyczne jak zagadnienia ustroju. Książka Chałasińskiego składa się z 7-miu rozdziałów. Pierwszy jest raczej metodologicznym wstępem i omawia elementy socjologicznej teorii wychowania. Poświęcony jest analizie takich pojęć podstawowych jak klasa, grupa, naród, jak socjologiczna interpretacja dotąd biologicznie rozumianych faz rozwoju dziecka, takich pojęć jak młodość, młodzież. Rozdział drugi poświęcony jest przede wszystkim nowoczesnej technice wychowania. Mamy tu porównanie techniki psychologicznej i socjologicznej. Omówienie techniki pedagogicznej ruchu komunistycznego, chrześcijańskiej młodzieży i hitleryzmu. Cały ten rozdział jest wyrazem głębokiego uświadomienia sobie przełomowości naszych czasów i akceptacji rewolucji polskiej oraz tych ruchów robotniczych z Rewolucją Październikową na czele, które ją poprzedziły.

Rozdział trzeci ma charakter historyczny i omawia społeczne drogi rozwoju instytucji wychowawczych od pierwotnego obrzędu inicjacji do uniwersytetu. Rozdział czwarty i piąty pokazuje związki procesu wychowania z instytucjami wychowawczymi i ustrojem społeczeństw, które te instytucje stworzyły. Dotyczą te rozdziały szkoły w ustroju kapitalistycznym i „w tradycyjnej społeczności chłopskiej". Rozdział szósty jest dalszym ciągiem rozważań historycznych, dotyczy szkoły w kapitalistycznej Ameryce. Ostatni wreszcie rozdział jest krytycznym przeglądem nowszych dotkryn pedagogicznych, omawia wychowanie jako przedmiot filozofii i nauki.

Książka Chałasińskiego śmiało rzec można rewolucjonizuje naszą teorię pedagogiczną, która — po wojnie — straszyła jak upiór swoim konserwatyzmem metodologicznym i reakcyjnością społeczną.

Zasługa rewizjonizmu naukowego autora polega, jak sądzę, przede wszystkim na tym, że gruntownie i zasadnie krytykuje dotychczas panującą psychologiczną interpretację podstawowych pojęć pedagogicznych. Wobec **stanu polskiej teorii pedagogicznej jest to prawdziwa rewolucja i należy się spodziewać błogosławiona w skutkach.**

Autor w wielu punktach swych wywodów, zwłaszcza w konkretnych analizach współczesnych faktów pedagogicznych zbliża się istotnie do marksizmu, korzysta obficie z marksistowskiego dorobku teoretycznego.

Umie pokazać społeczne, klasowe korzenie doktryn pedagogicznych i ideologii. Rozumie i trafnie analizuje funkcję klasową instytucyj wychowawczych. Jego metodę cechuje głęboki i w zasadzie po marksistowsku pojęty historyzm.

Nie znaczy to, iżby książkę jego można było traktować jako konsekwentny wykład pedagogiki marksistowskiej. W dalszych rozważaniach postaram się sprecyzować stanowisko filozoficzne i metodologiczne Chałasińskiego, oraz oznaczyć granicę wpływów myśli marksistowskiej na jego twórczość naukową.

„Społeczeństwo i wychowanie" bowiem jest pracą pod wieloma względami eklektyczną, znać w niej zasadniczą rysę dzielącą założenia teoretyczne od frapująco trafnych analiz faktycznych. Niestety te ostatnie często opierają się na zupełnie innych założeniach metodologicznych, aniżeli te, które autor na początku książki świadomie sformułował. Nie zawsze pomaga tu cenna troska o pełną świadomość metodologiczną, którą wykazuje pisarz kończąc każdy rozdział właśnie metodologiczną analizą swego własnego postępowania naukowego. Jest to godne naśladowania novum dydaktyczne w pracach, które mają służyć także studentom.

Pracę Chałasińskiego nazwałem książką nie tylko dla fachowców, ponieważ porusza w sposób twórczy, postępowy, nowoczesny niezmiernie doniosłe zagadnienia interesujące każdego inteligenta. Ale książka omawiana może być bliska szerokim kręgom czytelników i dlatego, że nie jest to ściśle naukowa praca, nie jest to tylko wykład teorii. Jest to książka w dużej mierze także publicystyczna w najlepszym tego słowa znaczeniu. O tej stronie pracy świadczy zarówno jej wrażliwość na aktualne problemy, jak i świetność stylu, literackość ujęcia poszczególnych rozdziałów w formę essay'u i wręcz pamfletu.

Taki charakter ma rozdział VI o szkole w kapitalistycznej Ameryce. Profesor Chałasiński wybaczy, iż niejako powtarzam tu stary zarzut z „mowy tronowej prof. Hessena". Ale doprawdy powtarzam go innym tonem, szczerego literackiego zachwytu. To co napisał o Ameryce jest i mądre i trafne i złośliwe, ale formalnie rzecz biorąc — to jest pamflet, a nie rozprawa. Każdy krytyk literacki potwiedzi mój sąd. Charakterystyka amerykańskich milionerów jako „łupieżczych białych Indian z typu ludzi cywilizowanych, ludzi, którzy wyżej cenią łupy niż trofea", charakterystyka Johna Rockefellera, który „nie opuszczał nabożeństwa niedzielnego, a gdy pani Rockefellerowa nie mogła mu towarzyszyć, to robił notatki z kazania, aby je żonie powtórzyć" jest tak zabawna, tak artystycznie wytrzymana, że przypomina najostrzejsze karty wielkich satyryków.

Publicystyczność ujęcia czasem odbija się ujemnie na książce. Świadczą o tym rozdziały historyczne, zbyt pobieżne, szkicowe, uproszczone. Wykład, który operuje tylko przykładami historycznymi jest zbyt daleko posuniętym ułatwieniem zadania „Przykłady historyczne" można dobrać tak, że uzasadni się każdą, dowolną tezę. Dopiero pełny wykład historyczny, analiza określonego ciągu historycznego może mieć naukową wartość dowodową. Autor zresztą zdawał sobie z tego sprawę, narzuciły mu tę publicystykę historyczną konieczności dydaktyczne. A jednak szkoda, bo w tym pobieżnym pochodzie przez wieki autor niejednokrotnie zbyt wyłącznie opierał się na jakimś jednym, wątpliwym autorytecie. Tak jest np. z Malinowskim. Nie mam zamiaru

*) Dr Józef Chałasiński: Społeczeństwo i wychowanie. Socjologiczne zagadnienia szkolnictwa i wychowania w społeczeństwie współczesnym. Nasza Księgarnia. Warszawa 1948, str. 431.

lekkomyślnie kwestionować zasług tego wielkiego uczonego. Ale, o ile wiem, jego poglądy na komunizm pierwotny, jego krytyka tzw. małżeństwa grupowego budzi i w literaturze etnograficznej wiele sporów. A na te jego poglądy właśnie między innymi powołuje się Chałasiński w swoim wykładzie historycznym jako na pewniki (str. 112, 114). Podobnie jest z zagadnieniem tzw. kręgów kulturowych, którą to koncepcję Chałasiński zakłada w swej historiozofii (str. 225), jako podstawę interpretacji faktów dziejowych i traktuje jako rzekomo pewną zdobycz nowoczesnej krytyki naukowej. Otóż koncepcja kręgów kulturowych — wyraźnie antymarksistowska, przecząca prawidłowości następstwa faz ewolucji społeczeństw ludzkich, ustalająca rzekomo różne schematy ewolucji dla różnych kręgów kulturowych — została bardzo poważnie zakwestionowana przez radzieckie badania etnograficzne na wielkich przestrzeniach Europy i Azji w ciągu ostatnich 30 lat *). Te usterki wynikłe ze zbyt publicystycznego ujęcia materiału historycznego cytuję przykładowo — ale podobne wątpliwości budzi całość tych rozważań.

Zalety jednak ogromnie przeważają w pracy Chałasińskiego nad usterkami. Jest to dzieło wyjątkowej doniosłości w literaturze współczesnej. Bez przesady można powiedzieć, iż stanowi historyczny wkład do budowania kultury Polski Ludowej, do kształtowania świadomości kulturalnej nowoczesnego Polaka. Należy dążyć do jak najszerszej popularyzacji tej pracy, winien ją czytać na pewno każdy nauczyciel i działacz oświatowy. Lepiej, aby ją czytali krytycznie, aby ją trafnie komentowano na odpowiednich kursach. Przynosi bowiem ona obok płodnych podniet i trafnych analiz nieliczne może, ale poważne, jak sądzę, nieporozumienia teoretyczne. Tym chciałbym poświęcić skolei nieco więcej uwagi.

II. POLEMIKA METODOLOGICZNA

Najwięcej zastrzeżeń budzi pierwszy rozdział „Społeczeństwa i wychowania".

Na str. 11 tej książki czytamy: „W stosunku do pojęcia grupy społecznej nasuwa się, podobnie jak w stosunku do społeczeństwa, ten sam problem filozoficzny. Czy poza nazwą „grupa społeczna" istnieje **realnie** poza jednostkami jakiś byt zbiorowy, który tej nazwie odpowiada?.. Używając pojęcia grupy społecznej zamiast „społeczeństwa" socjologia współczesna, nie przekreślając i nie lekceważąc zagadnień filozoficznych, nie szuka na nie odpowiedzi, lecz eliminuje je z zakresu naukowej socjologii pozostawiając je filozofii".

Wśród przykładowo wymienionych grup społecznych mamy pojęcia rzekomo tej samej klasy — jak wieś, rodzina, klasa robotnicza.

A na str. 223 autor pisze cytując Krzywickiego „Ogół tych jednakich pierwiastków, tkwiących w duszy poszczególnych przedstawicieli danej warstwy, tworzy to, co ochrzcilibyśmy nazwą ducha klasowego. Jest to kategoria społeczna tego samego rzędu co „duch narodów" I wyrażenie „duch czasu", o ile posiada jakąkolwiek treść, zawiera w sobie pokrewne składniki, tj. stany duchowe wspólne całemu pokoleniu". I dalej konkluduje sam przytoczony wyjątek, w którym „duch klasowy" występuje obok „ducha narodu" czy „ducha czasu", wskazuje na to, że pojęcie klasy, stanowiące podstawową kategorię socjologiczną marksizmu, nie rozwiązuje epistemologicznych i metodologicznych trudności, jakie socjologia ma z pojęciem grupy społecznej".

Pomijam ten fakt, że mocno przesiąknięty pozytywistycznym naturalizmem i psychologizmem marksizm Krzywickiego nie jest żadnym argumentem. Proszę choćby czytać sobie jego rozprawę o okrucieństwie i genetyczne wiązanie faktów społecznych i historycznych z biologicznymi i psychologicznymi typami ludzkimi.

System karny dawnych wieków, tortury, katowanie to dla niego sprawa osobnego biologicznego typu ludzkiego, który dostarczał katów. Podobnie w życiu idei przyjmuje zawsze psychologiczną interpretację ideologii klasowej — ideologia klasowa jest dlań obiektywizacją psychologii klasowej. Jak wszyscy pozytywiści nie wyobraża sobie autonomicznego świata kultury. To też Krzywicki nigdy nie był konsekwentnym marksistą. I bodaj bardziej marksistowskie są jego ostatnie prace, aniżeli te sprzed pierwszej wojny tak bardzo jeszcze pozytywistyczne.

Ale pomińmy tę w końcu marginesową sprawę. Wróćmy do tematu. Jakich trudności chce uniknąć Chałasiński, jakich uniknąć nie może, jakich trudności nie rozwiązuje pojęcie klasy? Trzeba tu szeregu ścisłych odróżnień.

Kreśląc wyraźną granicę między nauką a filozofią chce Chałasiński wyeliminować trudną i niewdzięczną problematykę ontologiczną. Jak wszyscy kantyści — dla których nauka porządkowała zjawiska, wobec niepoznawalności rzeczy. Jak wszyscy pozytywiści, którzy chcieli mieć naukę tylko legalną, tylko ustalającą prawidłowości świata fenomenalnego, a rezygnującą z wyjaśniania rzeczywistości, które nie może pozostać neutralnym wobec problematyki ontologicznej.

Jedno jest w tym słuszne: dążenie do całkowitej eliminacji z nauki sądów niesprawdzalnych, dążenie do całkowitej eliminacji założeń, których nie jesteśmy w stanie skontrolować.

Czy droga idealistów, którą w tym wypadku poszedł Chałasiński jest drogą właściwą? Czy na drodze popozytywistycznej i pokantowskiej na drodze konwencjonalistycznej metodologii można znaleźć rozwiązanie tych naukowych trudności każdego teoretyka, każdego badacza humanisty? Na pewno nie.

Autor odrzuca — bez gruntowniejszej krytyki explicite — metodę marksistów i ich podstawowe pojęcie klasy. Eliminuje dawne niekrytyczne pojęcia starych i naiwnych pozytywistów. Unaukowienie socjologii chce widzieć w przyjęciu pojęcia „grupy społecznej" jako konstytutywnego dla wszelkich teoryj socjologicznych. Dlaczego grupa — a nie klasa? Bo konstrukcja marksistowska pojęcia klasy nie ma rzekomo tych zalet metodologicznych, które daje eliminacja problematyki ontologicznej, posiada natomiast wszystkie nieuniknione wady pojęcia grupy, właściwe wszelkim operacyjnie definiowanym pojęciom ogólnym humanistyki.

Ze sformułowań Chałasińskiego wynika, iż istotną dlań zaletą pojęcia grupy jest to, iż dla skonstruowania go starczą determinanty o charakterze formalnym. Ani cienia jakiejś „filozofii kultury" u podstaw nauki. Czego nie da się powiedzieć o pojęciu klasy. Chałasiński sądzi, iż grupa społeczna to taka całość, która poddaje się systematycznej obserwacji, do której poznania można stosować naukowe metody badania i poznania, która może być przedmiotem postępowania naukowego. Metoda tu określa przedmiot, jak mawiał Znaniecki.

Każda więc całość społeczna: rodzina, wieś, klasa robotnicza — będzie taką grupą, każda dostępna systematycznej obserwacji całość, każda całość, którą wykreśla nasza postawa badawcza określona przez rygory naukowego postępowania socjologii.

Pojęcia zatym determinowane są jak czyste kategorie myślowe przez podmiotowe rygory poznawcze. Czyż może być klasyczniejszy neokantyzm?

To może wystarczy, by świadome założenia Chałasińskiego (jakże różne metodologicznie od jego konkretnych analiz) zaliczyć do określonego kierunku filozoficznego, do zasobu myśli obozu idealistycznego. Czy ten konwencjonalistyczny priorytet metody w stosunku do przedmiotu istotnie usuwa tudności, od których autor chciał ustrzec naukę? Czy taki formalny punkt wyjścia jaki stwarza powyższe pojęcie grupy istotnie pozwala liczyć się badaczowi tylko z zespołem podmiotowych reguł postępowania naukowego i w ten sposób zdyscyplinowaną obserwację opierać na jakichś „bezpośrednio danych doświadczenia humanistycznego?". Czy istotnie wychodzimy w ten sposób od tego co wokół siebie po prostu spostrzegamy — porządkując ten chaotyczny materiał tylko wedle operacyjnych, podmiotowych reguł naukowego poznania?

Chałasiński wydaje się tak sądzić. Ale, aby pytanie rozstrzygnąć weźmy jego drugą fundamentalną tezę metodologiczną (ze str. 16): „Z punktu widzenia wewnętrznej struktury społecznej ważny jest ten rys, który Znamierowski określa jako **selektywność grupy**. Rys ten polega na tym, że „żadna **grupa nie obejmuje całokształtu życia** swoich członków. Do danej grupy należy człowiek tylko pewnymi swymi działaniami i uczuciami".

Trudno o cytat, któryby lepiej ilustrował konwencjonalistyczny stosunek do problematyki ontologicznej i któryby lepiej demaskował wszystkie wilcze doły metodologiczne konwencjonalizmu.

Wiąże się z tym teza, iż „grupa społeczna nie jest zrzeszeniem konkretnych jednostek, lecz syntezą ról społecznych jej członków" (powtarza za Znanieckim str. 35).

Aby móc sformułować cytowane zdania trzeba założyć subiektywną wiedzę właśnie o konkretnej jednostce, o całokształcie życia członka grupy społecznej, z którego to całokształtu wydzielamy pewne działania i uczucia, musimy założyć wiedzę, która wyprzedza wszelkie badania socjologiczne, lękam się, że wszelkie badanie naukowe. Wiedzę, która przy tym jest bardzo zupełna, jest dobrą wiedzą aż o **całokształcie życia**. Trzeba założyć za tym jakąś zupełną i wypracowaną ontologię. Pozytywiści zakładali swój mechanistyczny materializm i swoją koncepcję człowieka — twórcy kultury pojmowanego jako organizm bio-psychiczny, wywodzili to zresztą z najogólniejszego założenia o zasadniczej jednorodności ewolucji organicznej i nadorganicznej.

Wyraźny antynaturalizm i antypsychologizm Chałasińskiego każe odrzucić tę możliwość. Cóż pozostaje?

1) Reguły postępowania naukowego (czyste kategorie myśli), które przy konwencjonalistycznym priorytecie metody w stosunku do przedmiotu badań naukowych, wyznaczają ten przedmiot.

2) Oparcie nauki na wyprzedzającej ją **praktycznej wiedzy** o rzeczywistości, która posiada potężny ładunek ontologiczny. Tę koncepcję rzeczywistości czerpaną z subiektywnego **praktycznego uczestnictwa** w świecie najpełniej (i właśnie nie naturalistycznie i niepsychologicznie) sformułowali pragmatyści, zwłaszcza Dewey bardzo bliski Chałasińskiemu i wysoko przezeń ceniony.

Mamy więc bliższe określenie stanowiska autora „Społeczeństwa i wychowania" z kantyzmu i pewnych sugestyj pozytywistycznych płynący konwencjonalizm i pragmatyzm. Właściwie więc typowe idealistyczne stanowisko najbliższe **większości** mieszczańskich myślicieli **XX wieku**. Całe szczęście, że Chałasiński tak mało się liczy ze swoimi filozoficznymi założeniami, gdy zaczyna mądrze, uczciwie, postępowo i z prawidłową postawą polityczną robić swoją konkretną badawczą robotę socjologa.

Ten pragmatyzm jest niczym więcej jak sublimowanym naturalizmem. Wszystkie naiwności, które u starych pozytywistów wyśmiewa Chałasiński — mamy w pragmatyźmie — tak samo mieszczańskim jak pozytywizm — tyle tylko, że nieco lepiej zamaskowane, ale też i bardziej dekadenckie i klasowo tępe. Pozytywiści zakładali u podstaw humanistyki wyniki biologii i psychologii. Było to naiwne zapoznawanie swoistości procesów i praw społecznych, był to mechanistyczny materializm, ale bądź co bądź punktem wyjścia humanistyki była jakaś wcześniejsza **wiedza naukowa**, sprawdzalna, kontrolowana. Pragmatystyczny i konwencjonalistyczny sposób postępowania, który zakłada Chałasiński przyjmuje zasadniczo ten sam sposób postępowania co naturalizm pozytywistyczny, tylko że na początku zakłada wiarę — filozofię, a nie choćby fałszywe zdania nauki.

Konstruuje swoje podstawowe pojęcia naukowe (np. grupy społecznej), które potem wyznaczają przedmioty badań naukowych (wieś, rodzina, klasa robotnicza), na podstawie przednaukowej wiedzy o tym „jaki jest człowiek naprawdę" i jego środowisko, w „swoim całokształcie".

Wiedza ta oczywiście korzystą pełnymi garściami z sugestyj pozytywizmu, z naturalizmu i psychologizmu, ale nie poprzestaje na tym. Stwarza pozory szerszego spojrzenia, „sublimuje" naturalistyczny sposób budowania ontologii, od której nauka wychodzi. Wnosi do swojej koncepcji „człowieka jakim jest naprawdę" doświadczenia i sugestie praktycznego, subiektywnego uczestnictwa w społecznym życiu. Jest bezczelnym i niekrytycznym oddźwiękiem klasowej filozofii, klasowej idei tego co w mieszczańskim społeczeństwie imperialistycznym uważa się za ważne dla „człowieka takiego jakim jest naprawdę". Proszę poczytajcie sobie „Filozofię i cywilizację" Dewey'a.

Ani konwencjonalizm, ani pragmatyzm, ani pojęcie grupy żadnych trudności ontologicznych i filozoficznych nie usuwają wbrew nadziejom Chałasińskiego. Gorzej, właśnie pozostają wszystkie trudności naiwnej, pozytywistycznej socjologii, wszystkie trudności jej naturalizmu tylko lepiej zamaskowane.

W ogóle problematyki ontologicznej z nauki usunąć się nie da, jak sądzę.

Niewątpliwie jednak zerwanie z naiwnościami naturalizmu jest krokiem naprzód w kierunku naukowej sprawdzalności tych założeń ontologicznych. Ale to co sobie Chałasiński zakłada wraz z podstawowym pojęciem grupy, to jest tylko pozorne wyjście poza naturalizm. Jak wskazywałem jest to nieuchronne grzęźnięcie w spotęgowanych trudnościach „sublimowanego" naturalizmu.

Marksistowska socjologia ze swoim pojęciem klasy istotnie nie uwalnia cudownie od problematyki ontologicznej, ale uwalnia od naiwności naturalizmu i pozwala na, najbardziej, jak sądzę, naukowe traktowanie tej ontologicznej problematyki u podstaw nauki.

Naturalistyczne bowiem postępowanie w metodologii humanistyki zwłaszcza w swej postaci konwencjonalno - pragmatystycznej przyjmowało następujące dyrektywy:

1) zakłada się jakąś ontologiczną wiedzę o świecie. Dostarcza jej swoisty laicki fideizm.

2) Na fundamencie tej wiedzy konstytuuje się pojęcia i metody badawcze.

3) Te pojęcia wyznaczają przedmiot badań naukowych.

4) Badanie naukowe liczy się z formalnymi (podmiotowymi) regułami weryfikacji sądów i wyniki tych badań przyczyniają się także do doskonalenia pojęć i metod naukowych, czyli aparatu konstruującego rzeczywistość naukową.

5) Stosunek rzeczywistości naukowej i sądów o niej — do przednaukowej rzeczywistości praktycznej mierzy się przydatnością tych naukowych koncepcji do praktycznego działania z punktu widzenia kryteriów zdatności, powodzenia uznanych w kapitalistycznym, „przyrodzonym" porządku.

6) Metodyczny aparat badań naukowych i cała konstrukcja rzeczywistości naukowej jest „ontologicznie neutralna".

7) Nie przyczynia się zatym postęp nauki do jakiejkolwiek określonej weryfikacji założeń ontologicznych, tych intuicji jaką jest „rzeczywistość naprawdę", od których wychodzi konstruowanie metod naukowych, które ze swej strony dopiero wyznaczają przedmioty poszukiwań naukowych,

8) Trzy więc wyróżnione etapy postępowania naukowego są tak ustosunkowane, że postęp nauki nie przyczynia się do kontroli jej intuicyjnych ontologicznych założeń.

Chałasiński myli się, gdy sądzi, że wystarczy usunąć (pozornie) problem czy naprawdę, realnie istnieje tylko bio-psychiczne indywiduum — czy też grupa ma jakiś osobny byt realny — aby uwolnić humanistykę od filozoficznej, ontologicznej problematyki. To jest strusia metodologia. Przecież Chałasiński formułując swą tezę o selektywności grupy (a i szereg innych) właśnie musiał założyć rozstrzygnięcie tego dylematu i to w duchu Dewey'a; założył określoną idealistyczną filozofię u podstaw swej nauki. (Wiedzę o konkretnym człowieku i „prawdziwym" całokształcie życia jako punkt wyjścia wszelkiego poznania naukowego).

Jeśli się przyjmie metodologię sublimowanego naturalizmu dylemat nie znika, znika tylko potrzeba wciągnięcia rozważań nad nim do badań naukowych. Trzeba natomiast przy stawianiu każdej kwestii naukowej **założyć** jakieś rozwiązanie tego dylematu, bo inaczej nie ukonstytuuje się swoich pojęć badawczych, swoich metod, które dopiero determinują przedmiot badań naukowych,

Eliminacja naiwnej i nienaukowej ontologii — to eliminacja dyrektyw metodologicznych **wszelkiego typu naturalizmu.**

A to daje metodologia marksistowska. Wychodzi bowiem od podstawowego kulturowego faktu dla danej formacji budując jej naukową teorię, a nie jak wszelkiego typu naturaliści od tak czy inaczej pojętego „całokształtu życia". W marksizmie teoria i praktyka, nauka i praktyczna orientacja od początku idą nierozłącznie razem. Przy konstytuowaniu pojęć socjologii marksistowskiej właśnie nie zakładamy czy człowiek jest organizmem w duchu mechanistycznego materializmu czy jeszcze bytem bardziej bogatym w dość dowolne cechy jak u pragmatystów, nie zakładamy takiego czy innego bytowania grupy, żadnej intuicji świata, jakim jest „naprawdę", z którego wydziela się dopiero konwencjonalne konstrukcje rzeczywistości nauki.

Doświadczenie, metoda, filozofia tworzą w marksiźmie jedność przy każdym kroku postępowania naukowego. Zalet pojęcia klasy jako konstytutywnego w humanistyce nie tłomaczą takie czy inne racje filozoficzne lub tylko formalno - metodologiczne. **Tłomaczy je cała teoria dynamiki społecznej Marksa.** Bo ta teoria adekwatna wobec faktów, ułożonych w racjonalną, wyjaśniającą rzeczywistość hierarchię, musiała opierać się na tym a nie na innym pojęciu. Nie jest ono tak ogólnikowe i „puste" jak pojęcie grupy. To też pozwala opierając się na nim **i na całej teorii** — wiedzieć jakim jest „człowiek naprawdę" — „w całokształcie życia". Ale tę wiedzę zdobywa się drogą naukową. W wyniku badań. A nie zakłada się na początku.

Najgorsze jest to konwencjonalistyczne nieporozumienie szukania pojęć rzekomo ontologicznie neutralnych. Takich nie ma.

Takie pojęcia jak grupa przydatne są dla tworzenia opisowych schematów typologicznych, bezużyteczne dla wszelkiego ustalania związków koniecznych, które jest właściwe naukowemu wyjaśnianiu teoretycznemu.

To też, gdy Chałasiński, wychodząc poza typologię chce ustalić związek konieczny między społeczną funkcją instytucji wychowawczej a zbiorowością musi odwołać się do innego typu pojęć. Społeczna funkcja instytucji wychowawczych w społeczeństwie pierwotnym ma polegać na nagięciu istoty ludzkiej, jej indywidualności do wymagań zbiorowości (s. 126).

Dlatego Chałasiński obok czysto typologicznego pojęcia grupy tworzy pojęcie „społeczności" czy „wspólnoty życiowej" bo właśnie w przeciwieństwie do grupy obejmuje ona w danym odcinku czasu całe dzieje swoich członków, całość ich życia" (s. 18). Taką formacją będzie pierwotna społeczność lokalno - sąsiedzka.

Poza rozmiarami czymże się to pojęcie różni od metafizycznego „społeczeństwa" pozytywistów?

Lecz jest konieczne — bo potrzeba pojęć, które oznaczają jakąś rzeczywistość realną, a nie konwencjonalną konstrukcję, aby wyjaśniać procesy kulturalne.

Tylko, że pojęcie klasy poddaje się kontroli ,posiada bowiem cechy wyraźnie ustalone. Jest wywracalne jakby powiedział Popper.

A pojęcie „wspólnoty życiowej" — jest nienaukowe, niewywracalne, nie posiada ściśle określonych cech, „obejmuje całość życia", odwołuje się jednym słowem do pragmatystycznej filozofii, do jakichś przednaukowych intuicji życia „jakim jest naprawdę".

„Wspólnota życiowa" wywodzi swą treść z jakiegoś bezpośredniego oglądu jakiejś „pełnej, konkretnej rzeczywistości", której rysy chwytamy jakby na jednym planie, pojęcie klasy determinuje skończony zespół cech, które z punktu widzenia teorii uznajemy **za podstawowe**, za pierwsze w procesie wyjaśniania dynamiki społecznej — a są to, jak wiadomo momenty ekonomiczne. Czy to jest trafne, jest sprawą nauki, natomiast na temat „wspólnoty życiowej" i treści tego pojęcia można **tylko** filozofować jak w ogóle na temat „pełnego życia", „całokształtu życia", „konkretnych jednostek i społeczności".

Wieleby jeszcze trzeba na ten temat pisać. Chałasiński ma rację, że te problemy nie są dość szeroko i monograficznie opracowane w literaturze marksistowskiej.

Myślę jednak, że z tych szkicowych uwag wynika przecież, iż Chałasiński nie dość cienko określił sobie na czym polegają trudności z ontologiczną problematyką w nauce. Nie docenił przeto zalet metodologii marksistowskiej, dał się wziąć na lep „sublimacji" pragmatystycznych. Zaciążył tu nad nim Dewey, Znaniecki, Max Weber.

A tych metodologów socjologii trzeba dziś przezwyciężyć, aby pchnąć naukę o człowieku na nowe drogi.

Całość metodologicznych założeń socjologicznej teorii wychowania Chałasińskiego obciążona jest tym śmiertelnym grzechem „sublimowanego naturalizmu". Podkreślam, że mam na myśli założenia sformułowane w książce. Te, które faktycznie wspierają jego konkretne analizy — nie wiele mają wspólnego z tymi pierwszymi.

Lecz jego tezy metodologiczne ciągną za sobą łańcuch konsekwencji.

Taką konsekwencją jest teza (str. 25), że „...wszelka grupa społeczna jest sprawą wyobrażeń...". „Społeczność nie polega po prostu na skupieniu jednostek ją składających... — pisze Durkheim — lecz przede wszystkim na idei, którą sama o sobie wytwarza".

Szukanie istoty więzi społecznej w wyobrażeniach zbiorowych to też gorzka konieczność sublimowanego naturalizmu. Oczywiście koncepcja naturalistyczna człowieka — organizmu bio-psychicznego nie wystarczy dla ukonstytuowania pojęcia więzi społecznej, bo nie wystarczą do tego cechy biologiczne i psychologiczne człowieka. To też w procesie sublimacji wzbogaca się ten element przednaukowej wizji ontologicznej — „człowieka jakim jest naprawdę" w możność doznawania wyobrażeń zbiorowych, wyposaża go się i w tę cechę konstytutywną. I wtedy na gruncie takiej ontologii — można ukonstytuować pojęcie więzi społecznej, a to wraz z pojęciem

*) por. Sovietskaja Etnografija. Zeszyt 4. rok 1947. Zawiera omówienie zagadnienia i bogatą bibliografię szczegółową.

grupy, grupy selektywnej już wyznacza przedmiot badań socjologicznych. Dobra zabawa.

A na str. 289 czytamy: „Socjologiczny problem nowoczesnej cywilizacji nie sprowadza się do zagadnienia walki klas i imperializmu kapitalistycznego krajów. Jest on bez porównania bardziej skomplikowany, dotyka bowiem zawiłych i niezbadanych współzależności techniki, rozumu i „społeczeństwa".

To też mistyczna wypowiedź na temat przednaukowej wizji pragmatystycznej świata „jakim jest naprawdę".

A str. 15 „Społeczeństwa utrzymują się przez to, co w nich jest wspólne, powtarzalne, typowe, zmieniają się pod wpływem indywidualności wyłaniających się spod norm obowiązujących".

I znów na dnie tej teorii dynamiki społecznej jest sublimowany naturalizm. Wizja ontologiczna świata „jakim jest naprawdę" i w nim człowiek — „jakim jest naprawdę", jako realności mocniejszych od wyników najpoprawniejszych teorji. Pojęcie dynamiki musi być takie, aby nie przeczyła tej wizji. Walka klas jej przeczy. Ależ ta wizja ograniczająca możliwości tworzenia pojęć, teoryj, metod naukowych przecież jest właśnie niekrytycznym, klasowym majakiem. Jego trzeba się pozbyć, aby oczyścić naukę.

Trudno uwierzyć, aby Chałasiński, który tak na wylot przejrzał krytycznie Amerykę, nie widział jak abstrakcje ontologiczne Dewey'a są tylko powtórzeniem w języku filozofii wizji świata, którą ma każdy bussinesman, po prostu gdy chodzi, je, zarabia, żyje.

Stosunek Chałasińskiego do marksizmu jest nacechowany przekorną nieufnością. Stąd liczne wypady krytyczne w recenzowanej książce. Własne jego jednak tezy metodologiczne świadczą, iż Chałasiński daleki jest od dostrzegania istotnych trudności metodologicznych humanistyki. Dlatego też nie widzi istotnych zalet metodologicznych marksizmu.

Jego siła tkwi we wspaniałych analizach konkretnych nie w metodologicznej samowiedzy. I w tych analizach bliższy jest marksizmowi — niż jakiejkolwiek innej metodologii.

III. DYNAMIKA CZY KLASYFIKACJA

Chciałbym zatrzymać się nad rezultatami tych analiz nie po to, by z obowiązku recenzenta uwydatnić nowości książki Chałasińskiego, ale przede wszystkim dlatego, aby wykazać jak te wyniki niezależne są od założeń idealistycznych autora.

Autor całkowicie rewiduje dotychczasowe wyniki analizy procesu wychowania.

Demaskuje klasowy charakter psychologicznej interpretacji tego procesu i jego elementów: wychowanka pojmowanego jako jednostkowa izolowana psychika, faz rozwojowych dziecka jako etapów przyrodzonego procesu interpretacji kariery społecznej człowieka jako procesu wewnętrznego dojrzewania i rozwijania się psychicznego itd.

Uzasadnia rolę grupy — wychowankiem jest kolektyw — w technice nowoczesnego procesu wychowania. Nowoczesny proces wychowania — poprzez społeczne ruchy, zorganizowane ruchy młodzieży — jest zdeterminowany walką klas, walką o nowy ustrój, o przebudowę ekonomiczną. To wszystko expressis verbis można wyczytać u Chałasińskiego.

Autor interpretuje rozwój i charakter instytucji wychowawczych jako nadbudowę określonych stosunków społeczno - gospodarczych.

Możnaby tu się kłócić o szczegóły — nieraz ważne, ale zasadniczy tok wywodów przekonywuje, uczy nowych rzeczy, uzbraja do walki o postęp w szkolnictwie.

Czy analizy Chałasińskiego przeprowadzone były przy pomocy pojęć „neutralnych ontologicznie"? Przy założeniu wizji świata właściwej „sublimowanemu naturalizmowi"?

Przeciwnie. Autor tam gdzie formułuje konkretne rezultaty posługuje się w swoich analizach pojęciem klasy — a nie grupy.

Mówi np. (str. 30 i in.) o nowym typie społeczności, który stworzyła kolektywizacja na wsi rosyjskiej — wyjaśnia to opozycją kultury traktoru i kultury konia.

Kultura konia — kultura traktoru, jedna samorzutna, zamknięta, druga powiązana z całością stosunków gospodarczych i o wysokim poziomie świadomości społecznej.

Chałasiński wyjaśniając tę przemianę ani próbuje odwołać się do zmiany ról społecznych, do nowej syntezy tych ról, do zmiany wyobrażeń zbiorowych. Nie koń — traktor, kolektywizacja, ustrój socjalistyczny...

Autor stale w ostatecznej instancji przywołuje czynnik klasowy. Tak jest gdy krytykuje pojęcia osobowości (psychologistyczne) w mieszczańskiej teorii pedagogiki, gdy sens tej teorii wyjaśnia klasowym interesem (str. 55, 64—9, 84). Tak jest gdy wyraźnie wiąże rozwój instytucji wychowawczych w tradycyjnej społeczności chłopskiej z wyraźnie sprecyzowaną sytuacją ekonomiczną, z typowym gospodarstwem chłopskim jako podstawą i przyczyną analizowanych zjawisk (str. 236 i in.). Tak samo jest, gdy analizuje rozwój prawa o obowiązku szkolnym w zależności od potrzeb kapitalistycznego przemysłu (str. 291 i in.). tak jest, gdy wyjaśnia proces walki o nową literaturę w ZSRR — mówiąc, że literatura współczesna ma tendencję do wyrażania dążeń wąskiej grupy zawodowej artystów — a walka toczy się o związanie jej z szeroką bazą społeczną, bazą klasowo zdeterminowaną o wyraźnym profilu ekonomicznym i politycznym (str. 34). Tak jest zbudowana cała książka, chociaż trzeba przyznać, naszpikowana jest przekornymi idealistycznymi wtrętami, dygresjami, paradoksami konwencjonalisty.

Charakterystyczną cechą konwencjonalnej metodologii, którą Chałasiński wykłada jako swoją, jest typologizujący charakter pojęć, właśnie „ontologicznie neutralnych".

Przede wszystkim konstruowane są na wzór omawianych wyżej pojęć grupy, czy roli społecznej, tzn. bez oglądania się czy tak wyodrębniony element całości społecznej może występować jako człon zależności dynamicznych, rozwojowych. Klasa — jest siłą motoryczną rozwoju społecznego może występować jako człon wszelkich związków dynamicznych i z tego punktu widzenia zostało to pojęcie ukonstytuowane. Inaczej z pojęciem grupy. Jak sam Chałasiński mówi — socjologia współczesna jest rzekomo bezradna wobec zagadnienia rozwoju i naukowo może je traktować tylko klasyfikacyjnie (str. 151). („Socjologia współczesna posługując się metodą naukową nie może wyjść poza klasyfikacyjne pojęcie rozwoju"). To też wyrosłe z tej metodologii pojęcie grupy (i roli społecznej, których syntezą jest grupa) może być czysto typologiczne, budowane poza problematyką ontologiczną, bez troski o to jaki jest jej byt realny, gdyż grupa nie jest i nie ma być żadną siłą w procesach rozwojowych. To w konsekwencji dało formalizm w interpretowaniu dynamiki społecznej. Rozumienie rozwoju jako przechodzenia od jednych struktur do drugich, od jednego typu syntez do drugiego typu syntez. Ten formalizm był właściwy całej humanistyce antypozytywistycznej pierwszej połowy XX wieku. Czy Chałasiński w swoich konkretnych analizach liczy się z tym najfundamentalniejszym założeniem rzekomo własnej metodologii? Nie.

Chałasiński na gruncie swego własnego historyzmu, tak stawia wszystkie istotne problemy, iż musi posługiwać się pojęciami, które były konstytuowane właśnie z punktu widzenia potrzeb wyjaśniania dynamiki społecznej i to bynajmniej nie w sensie tylko klasyfikacyjnym. W rozumieniu dynamiki społecznej Chałasiński jest może nie zawsze konsekwentnym, ale po prostu wyznawcą materializmu dziejowego. W duchu potrzeb tej teorii interpretuje także swoje pojęcia — wywodzące się z tradycji socjologii neokantowskiej. **Używa** pojęć wzoru i roli zupełnie inaczej niż Weber i Znaniecki.

Chałasiński np. wyjaśniając charakter i funkcję społeczną instytucji wychowawczych tradycyjnej wsi mówi wiele o typie społeczności sąsiedzkiej. „Społeczność sąsiedzka" to konwencjonalistyczna nazwa typu stosunków społecznych warunkujących wszystkie przejawy życia wsi tradycyjnej.

Na tym tle zjawia się właściwa młodzieży rola społeczna pastucha — przeciwstawna roli ucznia (str. 239 i in.). Otóż definicja operacyjna pojęcia pastucha Chałasińskiego nie nawiązuje do psychologiczno - obyczajowych treści typu społeczności sąsiedzkiej, ale do ekonomicznej determinacji dość ściśle uchwyconego przez Chałasińskiego samodzielnego średniego gospodarstwa chłopskiego.

Walka klasowa znaczy przejście od pastucha do członka organizacji ruchu młodocichłopskiego. Tego dowodzą świetne analizy autora (str. 249—276).

„Społeczeństwo i wychowanie" jest znakomitym dowodem płodności koncepcji marksistowskich, jałowości socjologii konwencjonalistycznej.

Oczywiście trzeba pamiętać, iż autor wyraźnie obstaje, iż analiza socjologiczna opiera się na schematyzującej typologii socjologicznej (str. 279). Ustalenie koniecznych związków rozwojowych to są ważne momenty wykładu, węzłowe z punktu widzenia teorii, ale nieliczne. Większa, znakomita część książki to właśnie są konstrukcje owych schematów typologii socjologicznej bez tego bowiem nie da się pozornie różnych zjawisk *skupiać* w tych samych klasach logicznych (pastuch — uczeń), co umożliwia dopiero ustalenie związków koniecznych, teoretycznych wyjaśnień dynamiki. Gdyby nie te punkty węzłowe, jak powiedziałem, byłoby trudno ustalić jak bardzo Chałasiński zdradza swoją filozofię, boć typologia wszędzie bywa jednakowa. Subtelność i obrazowość, wyczucie rzeczywistości i jej wielorakiego kształtu imponuje przy rozpatrywaniu tak bardzo pomysłowych i płodnych schematów typologicznych Chałasińskiego.

Jak słusznie zwrócił mi uwagę w rozmowie prof. Mysłakowski, szkoda, że Chałasiński pisze o dość nieokreślonej tradycyjnej społeczności chłopskiej Szkoda, że nie mamy tu nawet próby analizy stosunków panujących na dzisiejszej wsi polskiej, po reformach ludowych.

Szczególnie wiele cennych myśli przynosi recenzowana praca na temat demokratyzacji kultury. Są to bodaj pierwsze u nas istotnie naukowe refleksje na ten temat. I tu interesuje trafna analiza klasowa poszczególnych tendencji polityki kulturalnej. Przekonywuje wywód o niemożności upowszechnienia kultury elitarnej. Przekonywuje teza, iż teoria wyższości kulturalnej, poziomu jest ostatnią bronią klasową pobitej burżuazji, która utrzymując w zwycięskich społecznie masach poczucie niższości kulturalnej, ratuje swe ostatnie uprzywilejowane pozycje. Pięknie i namiętnie wyłożona jest teza o wzrastaniu kultury od dołu, od twórczości mas — przeciwko wszelkim elitarystom. Jak bardzo te uwagi zafrapowały dowodzi, iż w ciągu tych paru miesięcy, które dzielą nas od ukazania się książki już były cytowane w wielu artykułach w tygodnikach literackich.

Rozdział końcowy książki analizujący rozwój nowszych doktryn pedagogicznych — napisany pod przemożnym urokiem Dewey'a — zbyt pobieżnie traktuje problem marksizmu i bodaj dlatego jest tak mało krytyczny w stosunku do idealistycznej tradycji. Marksizm doprawdy stanowi przełom w myśli pedagogicznej, początek czegoś całkiem nowego, a nie tylko udoskonalony dalszy ciąg przeszłości. Widzieć tradycje marksizmu, tradycje mieszczańskie — to jedno, ale widzieć też trzeba jego całkowicie nowatorską rolę historyczną. Nie kopię tu oczywiście sztucznej i sprzecznej z historią nauki przepaści między marksizmem a socjologią mieszczańską. Ta ostatnia korzystała i coraz obficiej korzysta z wyników i metodologicznych zaleceń marksizmu. A i socjologia marksistowska asymiluje z przeszłości wszystko co jest istotnym dorobkiem, empirycznym wynikiem. Ale to nie powinno nam przeszkadzać rozumieć swoistą rewolucyjną rolę wielkich prądów naukowych.

Dałoby się może powiedzieć, iż książka Chałasińskiego w całości zawiera zawiele eufemizmów terminologicznych.

Np. na str. 106 czytamy „odbudowa całości społecznej — to nowy zasadniczy problem nowoczesnej demokracji. Rzecz jasna, że odbudowa całości społecznej musi dotyczyć przede wszystkim podstawowego czynnika nowoczesnego społeczeństwa, jakim jest ustrój ekonomiczny. Bez zasadniczych zmian ustroju ekonomicznego, bez podporządkowania go celom społeczeństwa i kultury odbudowa całości społecznej nie może być osiągnięta".

To nie jest fałszywe — to tylko za mało jasne. Należało po prostu powiedzieć: bez socjalizmu nie osiągnie się nowoczesnej demokracji.

I tych kropek nad „i" brak całej książce.

Ale nawet i tak jej funkcja — należy się spodziewać — będzie jak najbardziej pozytywna wśród naszej inteligencji.

Stefan Żółkiewski

JERZY WYSZOMIRSKI

Mickiewiczowski rok jubileuszowy

„Jest u mnie kraj, ojczyzna myśli mojej..."

1. PROBLEM PIERWSZEGO ZIARENKA

Nie ma chyba w literaturze polskiej dzieła, bardziej od „Pana Tadeusza" skomentowanego i, jak to się mówi, przeoranego przez uczonych historyków literatury, dla których epopea ta stanowi wciąż „nieprzebraną skarbnicę" i „niewysychające źródło" egzegezy, glossatorstwa, tłumaczenia, interpretacji, a nawet proroctw. Możnaby powiedzieć, że „Pan Tadeusz" stał się czymś w rodzaju Wedy, do której pisze się nieskończone Upaniszady, czy też Miszną, objaśnianą wciąż przez Gemare. I, jak Weda i Miszna odeszły w cień swych wykładaczów, tak „Pan Tadeusz" przytłoczony został tomami opracowań uczonych w piśmie doktorów.

Na kilka lat przed wojną, gdy „Pan Tadeusz" obchodził stulecie swego istnienia, rozlała się była nad Polską bania uczoności, doszukującej się po raz niewiedzieć który „genezy" poematu. Ukazywały się wówczas dzieła profesorów, liczące po 300 i 500 stron druku, odmierzające „wzrost, wielkość i sławę" mickiewiczowskiego arcydzieła, ustalające „poderwanie planu na wyższą płaszczyznę" tudzież „trzy fale rozrostu epopei", odróżniające w niej „kopułę wzniosłości" od „korony wzniosłości narodowej" itp. itp. Zapewne i w bieżącym roku jubileuszowym poety ogłoszony będzie niejeden „przyczynek"...

Dziwnymi wszelako drogami chadza badawczość uczonych. Wytłumaczą oni i wyłożą szczegóły do ostatniego przecinka, a nie mogą rozstrzygnąć rzeczy zasadniczych i podstawowych. Taką rzeczą w „Panu Tadeuszu" jest to, co zwykli oni nazywać „pierwszem ziarenkiem" epopei, czyli pierwszym jej pomysłem, czyli narodzinami idei epickiej w mózgu i duszy poety. Kiedy, gdzie i jak ziarenko to „zakiełkowało" — oto „problem". Na ogół uczeni przypuszczają, że ziarenko zakiełkowało w poecie „pod niebem Wielkopolski, na jej ziemi, gdzieś jeszcze w r. 1831", ażeby stopniowo rozrosnąć się i spotężnieć w „mocarne drzewo", rozkwitające owocami. „Gdzieś jeszcze" — bardzo to, jak na uczonych, mgliste określenie, zwłaszcza, że natychmiast osłaniają się oni umkliwym zastrzeżeniem: „przy dzisiejszym stanie źródeł nie rozwiążemy tych pytań". Więc dotychczas uczeni nie zdołali zgromadzić dostatecznej ilości źródeł? Więc jakież znaczenie mają wielotomowe prace, skrzętne a mozolne szperania? Niech mi wolno będzie w roku jubileuszowym Mickiewicza przypomnieć moją podróż do Kowna, odbytą latem roku 1935, za przepustką, przez zieloną granicę, nie utrzymywaliśmy bowiem jeszcze wówczas stosunków dyplomatycznych z krajem, który nazywaliśmy nieco ironicznie „Litwą Kowieńską". Pojechałem tam, napół żartem, napół serio, w setną rocznicę „Pana Tadeusza", aby tam nie w Wielkopolsce, szukać „problemu pierwszego ziarenka" epopei. Do podróży natchnęły mnie „Pamiętniki Pana Kamertona" — tego Kamertona, którego świadectwo ani razu nie było zużytkowane przez naszych wyrocznych mickiewiczologów doby ostatniej, jak Kallenbach czy Pigoń, podających w swych bibliografiach setki nazwisk związanych z epopeą — nawet Kamoensa, ale nie widzących Kamertona. Czyżby „farczik prosto otkrywałsja"?

2. KAMERTON

Autorem „Pamiętników Kamertona" był Leon hr. Potocki, syn owego Stanisława, generała, który w noc listopadową r. 1830 zginął na ulicach Warszawy od kuli podchorążych za wierność Konstantemu. Leon Potocki urodził się r. 1800 w Horyhorkach na Białorusi, umarł r. 1864 w Rydze. Tamte strony były jego „ojcowizną", i jej poświęcił swoje „Wspomnienia o Kownie" i „Pamiętniki pana Kamertona". W tych ostatnich mamy rozdział, opisujący Kowno za czasów Mickiewicza i pobyt w nim poety (nawiasem mówiąc, Potocki i Mickiewicz byli prawie rówieśnikami). Opis opiera się na relacjach Bonawentury Dobrowolskiego, prefekta szkoły kowieńskiej, gdzie to Mickiewicz, jak sam powiadał, trudnił się „obkuwaniem łbów żmudzkich". „Pana Dobrowolskiego — czytamy w pamiętnikach — od wszystkich poważanego i kochanego starca, łączyły z Mickiewiczem ściśle przyjazne ogniwa. Kiedy wieszcza naszego przeciwne losy w dalekie strony zagnały, pisywał do niego z Petersburga, z Odessy, z Paryża, a listy jego są potwierdzeniem opowiadań, z których pan Bonawentura czerpał niezaprzeczonej prawdy materiały do wspomnień swoich". We wspomnieniach Kamertona — Dobrowolskiego Mickiewicz przedstawia się jako samotniczy, niemal dziki romantyk, stroniący od ludzi; jako włóczęga, błąkający się namiętnie po okolicznych borach, kryjący się w zaroślach nadbrzeżnych urwisk niemnowych. Nazywano go przeto w Kownie dziwakiem, zakochanym i poetą. Jednym z miejsc okolicznych, które lubił odwiedzać, był Czerwony Dwór. Kamerton podaje o nim następującą wzmiankę:

„Blisko ujścia Niewiaży do Niemna wznosił się zamek obronny, przez jednych Koenigsburgiem przez innych Rotenburgiem zwany, założony, jak podanie niesie, około 1405 roku przez Krzyżaków. Stąd chytry i przewrotny zakonnik trzymał na straży Kowno. Żmudzin nie spuszczał z oka, czatował chwili, w którejby mógł bezkarnie w głąb kraju zapuścić zagony. Zamek Rotenburg czyli Czerwony Dwór od czasu założenia swego nie w jednej pozostał rodzinie; w przeszłym stuleciu (XVIII) dostał się w posiadanie Zabiełkom. Ileż to razy odbijały się o jego ściany głośne wiwaty i śmiechy wśród wesołych biesiad! Ileż to razy zatrzasł się w swych posadach podczas obywatelskich zjazdów na złowróżbne słowo — nie pozwalam!... Czerwony Dwór, przechodząc przez zmienne koleje świetności, letargu i upadku w roku 1831, stał się pastwą płomieni. Nabył go jeszcze przed pożarem hr. Benedykt Tyszkiewicz. Pozostałe szczątki zamczyska przerobił na tegoczesny pałac..." Wystarczy, na razie.

3. KORZENIE MIŁOŚCI

Kowieńska młodość Mickiewicza nie interesowała jego badaczów w tym stopniu, co lata dzieciństwa nowogródzkiego i filomactwa wileńskiego. Przyczyna tkwiła, być może w tym że większość mickiewiczologów, jak: Tarnowski, Pini, Bruchnalski, Windakiewicz, Kallenbach, Pigoń — pochodziła z t. zw. Galicji, trzymała się niemieckich, archiwalnych metod naukowych, które — zamiast dotykalnie i zmysłowo obcować z terenami, gdzie upływało życie poetów, wolały zawsze jakowąś „Einleitung in die Philosophie des Elefanten"; po drugie — właściwy rozkwit naszej mickiewiczologii przypada na czasy dwudziestolecia międzywojennego: Kowno wtedy była to stolica odgrodzonej od nas Litwy, a cała Litwa stała się terra incognita. Wydawało się, że jedynym krajem rodzinnym Mickiewicza jest Nowogródczyzna i Wileńszczyzna; wierzyliśmy święcie (zwłaszcza tacy, jak ja, co studiowali na uniwersytecie wileńskim), że naprawdę w mrocznym pokoiku parterowym, w ciemnym podwórzu zaułka Bernardyńskiego, powstała „Grażyna", jak to głosiła tablica marmurowa. Jeden z mickiewiczologów, profesor owego uniwersytetu, poprzedzał swą olbrzymią monografię „Pana Tadeusza" drobiazgowym opisem Nowogródczyzny i tłumaczył, że tu właśnie wrastał poeta, „jak dąb rozłożysty w swą glebę i stąd obejmował ją korzeniami miłości". A przecież dąb potrzebuje szerokiej przestrzeni, i korzenie jego sięgały na pewno dalej niż Nowogródczyzna; z Wilna musiały przeniknąć i do Kowna, które podówczas jeden kraj z Wilnem stanowiło i bliżej doń było z Wilna, niżli do Nowogródka — do owego Kowna, gdzie Wilja, naszych strumieni rodzica, opływająca Wilno, wpada do Niemna, „domowej rzeki" poety.

W Kownie spędził Mickiewicz parę lat swej najpiękniejszej, najbujniejszej młodości, która jest wiekiem silnych wrażeń, napiętych uczuć, ostrych przeżyć. Tutaj przechodził ataki bajronizmu; pisał „Odę", „Grażynę" i ballady; opracowywał „Dziady": tutaj był dziwakiem i zakochanym: tu oddawał się burzliwie rzeczywistej, cielesnej, nie poetyckiej, jak do Maryli, miłości; tutaj miewał napady takiego „dzikiego humoru" jak świadczy pan Bonawentura, że walił w łeb lichtarzem swego rywala, który się śmiał u-

Baublis Paszkiewicza

mizgać do jego kochanki, doktorowej Kowalskiej. Jeden Boy zwrócił kiedyś uwagę na to, że w Kownie odbył się największy dziw, jaki zna nasza literatura: rozkwit poczwarki mickiewiczowskiej w najcudniejszego motyla poezji.

4. REVENONS A NOS MOUTONS

Właścicielem Czerwonego Dworu za kowieńskich czasów Mickiewicza był hr. Henryk Zabiełło. Czy nie mogło się to nazwisko przeobrazić w Horeszkę? Ten Zabiełło (1788 — 1850), w roku 1811 — 1812, jak Hrabia z „Pana Tadeusza", — „swoim kosztem cały pułk jazdy wystawił i w pierwszej zaraz bitwie wybornie się sprawił". Jak Hrabia, był pułkownikiem Księstwa Warszawskiego. Co więcej: oryginał podobno i dziwak, z „głową romansową". Zabiełło, jak Hrabia, był malarzem-amatorem: malował i rysował sceny z życia wojskowego, polowania, krajobrazy, przeważnie akwarele. Pozostawił też jeden obraz większy, religijny — „Św. Filomenę", przeznaczony swego czasu do Kościoła Św. Krzyża w Warszawie.

Do powyższego dorzućmy inny szczegół, dotyczący pierwowzoru Gerwazego Rębajły, a podany w pamiętnikach Stanisława Morawskiego. Oto za czasów Mickiewicza chadzał po Kownie cudak, nazwiskiem Kusztejko. Suchy, chudy, wysoki, pod wytartą kapotą nosił zawsze dawną polską szablę, którą żartobliwie „scyzorykiem" nazywał... Możnaby wspomnieć i taki drobiazg, że „Wielki Baublis, w którego ogromie, wiekami wydrążonym, jakby w dobrym domie, dwunastu ludzi mogło wieczerzać za stołem", rósł w powiecie rosieńskim, na północo-zachód od Kowna, — w majętności innego cudaka, Dionizego Paszkiewicza, który, aby ratować usychający, tysiącletni dąb, ściął go od góry, nakrył dachem i urządził w jego wnętrzu dziwaczny gabinet starożytności; dziś Baublis w tej postaci znajduje się w Muzeum Narodowym Kowieńskim...

Przeczytajmy teraz raz jeszcze, cytowany z pamiętników Kamertona opis Czerwonego Dworu, który po litewsku nazywa się Raudondwaris, i przypomnijmy sobie to ,co Kusztejko - Rębajło opowiada Hrabiemu: „Weszli w sień. Rzekł Gerwazy: — W tej ogromnej sieni brukowanej nie znajdziesz pan tyle kamieni, ile tu pękło beczek wina w dobrych czasach; szlachta ciągnęła kufy z piwnicy na pasach, sproszona na sejm, albo sejmik powiatowy, albo na imieniny pańskie lub na łowy. Podczas uczty na chórze 'ym kapela stała i w organ i w rozliczne instrumenty grała; a gdy wznoszono zdrowie, trąby jak w dniu sądnym grzmiały z chóru; wiwaty szły ciągiem porządnym...". Czy nie można by po tym wszystkim postawić hipotezy, że „pierwsze ziarnko" epopei „zakiełkowało" nie „gdzieś jeszcze pod niebem Wielkopolski", lecz zapadło w duszę poety wówczas, gdy — jak opowiada Kamerton — rozkochany dziwak „zapuszczał się w bory kowieńskie, krył po urwiskach Niemna, zwiedzał Pożajście, Czerwony Dwór i ową Wielonę, pod której murami Gedymin śmierć chwalebną znalazł". Zwłaszcza, że Mickiewicz pisał wówczas „Grażynę", rzecz również epicką, nad którą, jak wiemy z jego listów kowieńskich, męczył się, która go nie cieszyła, jako „klepana invita Minerva".

Czy nie możemy tedy utrzymywać, że zamek Horeszków jest poetycką rekonstrukcją kowieńskiego Raudandwaris?

5. ANI ZAMEK TUHANÓW, ANI MIR.

Wszyscy mickiewiczolodzy podnoszą zgodnie nadzwyczajną pamięć rzeczy widzianych u Mickiewicza, jego zamiłowanie do ścisłości, do konkretu, realizmu i plastyki w opisach. Pouczają nas, że „usłużna pamięć wspomnień nasuwała poecie nie tylko kształty, ale i **najsubtelniejszą grę światłocienia*)**, kolorytu tamtych rzeczy i ludzi". Pouczają nas dalej, że dzięki tej „usłużnej pamięci" topografia Soplicowa z przyległościami została przez poetę tak wiernie odtworzona z rzeczywistości, z „kraju lat dziecinnych", iż można szkolne wydania „Pana Tadeusza" zaopatrywać w mapki — jakgdyby Mickiewicz był nie poetą, lecz skoczybrudzą alias geometrą, sporządzającym plany. I właśnie jeden z najważniejszych szczegółów topograficznych poematu, zamek Horeszków, o który toczy się proces będący osią akcji, a zakończony zajazdem, właśnie ten ważny punkt na planie budzi wątpliwości mickiewiczologów. Wszystko inne jest w porządku: dwór i sernica, karczma i konopie — tylko: co to za zamek? Skąd go Mickiewicz Bo zamkiem Horeszków, powiadają mickiewiczolodzy, nie może być ani legendarny zamek Tuhanów ani zamek w Mirze. O tym pierwszym piszą, że wznosił się on podobno niegdyś w pobliżu Cząbrowa, z którego miało się zrobić Soplicowo, i że za czasów Mickiewicza żył już tylko w tradycji. A skoro Mickiewicz odznaczał się umiłowaniem konkretu i usłużną pamięcią najsubtelniejszych odcieni, czy mógł opisać konkretnie i subtelnie to, czego nigdy nie widział? Oczywista, że nie, nigdy w życiu. A więc nie ma mowy o zamku legendarnym. Może tedy zamek mirski? I tu znowu mickiewiczolodzy zbici są z pantałyku. Jakże to? „Zamek mirski — głowią się —był potężną warownią o pięciu basztach, horeszkowski był budowlą stosunkowo niedużą, o jednej wieży...". Istotnie. Gdy Hrabia zobaczył zamek zrana — „zadziwił się pan Hrabia na widok tak nowy: wieża zdała się dwakroć wyższa, bo stercząca nad mgłę ranną; dach z blachy złocił się od słońca...".

Więc ani zamek Tuhanów, ani Mir nie mogły się stać „konkretnym obiektem", który natchnął poetę do stworzenia zamku horeszkowskiego. Co tu począć? Solve mihi hanc syllogismum. Więc mickiewiczolodzy doszli do wniosku paralogicznego, zaprzeczającego zgoła usłużnej pamięci nie tylko światłocienia, ale nawet kształtów: oto motyw zamku wplecony został w poemat wyłącznie „wskutek pewnych założeń literackich, był nieodzownym składnikiem powieści o charakterze zbliżonym do walterskotowskiego". Tableau! „Ach, kakoj passaż!" — jakby zawołała pani Anna w „Rewizorze".

6. CETERUM CENSEO..

Latem roku 1935 pojechałem do Kowna, żeby zwiedzić Czerwony Dwór. Znalazłem się tam w rannych godzinach: zamek miał doprawdy jedną wieżę i dach jego z blachy świecił się od słońca. Można było od pierwszego wejrzenia upodobać jego czerwone mury, które gotyckiej są architektury, choć architekt mógł być majstrem z Kowna.

Jedzie się do Czerwonego Dworu z Kowna przez potężny most na Wilji, potem przedmieściem Słobódką, potem nową litewską szosą, która się wije wśród pagórków leśnych, łąk zielonych i pól uprawnych. Z lewej strony widać niknącą i ukazującą się błękitną wstęgę Niemna. „Trudno sobie coś rozkoszniejszego wymyślić, a niepodobna widzieć, przynajmniej w Litwie. Drzewa kilkudziesięcioletnie, albo dla okrągłości mówiąc — stuletnie, gęsto splecione, jarzębina, czeremcha biała, jodły ciemne z długimi warkoczami, brzozy w kolumny i piętra wyniesione — najrozkoszniejszy widok — a ranek — śpiewania ptasząt — szmer wody — coś jeszcze przydam milszego: oto idące dolinką z koszykami Litwinki na targ do Kowna..."*). A po szosie mkną wciąż auta prywatne, taksówki i autobusy, bo w tych stronach dużo letnisk podmiejskich. Dojeżdża się do Niewiaży, której wody wydają się zupełnie ciemne i nieruchome. Tu wpada ona do Niemna, tu tworzy się z tych dwóch rzek kąt, a w tym kącie wyrastać poczyna wzgórze, na którym wznosił się ongi Rotenburg, skąd przewrotny krzyżak trzymał na straży Kowno. Aby się znaleźć na rozległym wzgórzu, trzeba przebyć most na Niewiaży — żelazny, wyasfaltowany.

Już z daleka widać górujące nad okolicą dwie, białe wieże kościoła. Zamku nie dostrzegamy jeszcze: leży na prawo, o dwa tysiące kroków za kościołem, okazały budową, poważny ogromem, przysłonięty całkiem bujną zielonością. U stóp wzgórza tuli się kilkanaście domostw, jakaś kuźnia, sklepik, wreszcie coś w rodzaju gospody. Wychodzi z niej stary Żyd, wysoki, otyły, z białą brodą. Jankiel czy nie Jankiel? Naturalnie, strój jego jest inny: Jankiel nie nosi długiego, do ziemi szarafanu, ani jedwabnego pasa; nie ma na głowie lisiej czapy ani mycki. Zresztą słońce praży, upał. Czerwonodworski Jankiel jest tylko w butach, portkach i rozchełstanej, płóciennej koszuli, z odsłoniętą głową.

— Czy można dostać piwa? — pytam starca po polsku.

— Proszę pana — odpowiada Jankiel — mam dobre, zimne piwo.

Jankiel mówi po polsku: najczystszą, przepiękną polszczyzną, bez wileńskich zaciągań i prowincjonalizmów. Jego mowa dźwięczy po literacku, ale tą starą literackością, szlachetną i prostą, która Polakowi, przybyłemu z Rzeczypospolitej, wydaje się archaiczną.

Jankiel siedzi tu równo 62 lata, a więc od roku 1873 — mój Boże! Bez przerwy, nie ruszając się z Czerwonego Dworu. Naprzód dzierżawił starą karczmę, tę za wzgórzem: nie widać jej stąd. Jego ojciec również był tutaj karczmarzem. Jankiel pamięta, co ojciec opowiadał o grafie Zabielle, ale samego grafa już nie pamięta: musi już sto lat minęło, jak on tu siedział. Za to pamięta Jankiel starego grafa Tyszkiewicza, co jeździł zawsze czwórką białych koni. Graf wyjechał stąd dawno, podobno do Paryża, czy do Polski. Czy żyje jeszcze? Niewiedzieć. Jeżeli żyje, to pewnie bardzo stary: chyba osiemdziesiąt lat. Częstuję Jankiela papierosem.

— Za pozwoleniem pańskiem — mówi swą klasyczną, panatadeuszową polszczyzną: — czy mogę prosić ognia, bo nie mam zapałek?

I dlaczego ten czy ów mickiewiczolog, komentując Jankiela epopeicznego, pisze w te słowa: „Postać Jankiela opiera się bodaj także w pewnej mierze o rzeczywistość. Przyznał to podobno sam poeta". Dlaczego: bodaj, także, w pewnej mierze, podobno? Jeżeli w roku 1935 dożywał dni swoich w Czerwonym Dworze starzec z siwą brodą, który się trudnił — z ojca na syna — karczmarstwem od 62 lat? Ojciec czerwonodworskiego Jankiela żył w Kownie za czasów Mickiewicza, a dziad jego mógł w Soplicowie „od lat wielu dzierżawić karczmę powszechnie znany z poczciwości".

7. ZMIENNE KOLEJE LOSU

Oczywista, Raudandwaris w r. 1935, wyglądał inaczej, niż za czasów Mickiewicza. Przede wszystkim, upaństwowiony po Tyszkiewiczach, zamienił się w sierociniec, utrzymywany przez rząd litewski. Mnóstwo dzieci, półnagich, czarnych od słońca, biegało po obszernym dziedzińcu, przed zamkiem, grało w siatkówkę i koszykówkę, bawiło się w ogromnym, cienistym parku, spływającym malowniczo po stokach wzgórz ku Niewiaży. Rozbrzmiewała trudna, acz dźwięczna mowa litewska, i z żadnym z dzieci nie mogłem się porozumieć. I kierowniczka zakładu zaledwie rozumiała po polsku, natomiast władała językiem rosyjskim. Grzecznie wprowadziła mię do wnętrza zamku. Stanąłem w wielkiej sieni, mrocznej i starej, i wzniósłszy oczy do góry, zobaczyłem na jej sklepieniu słabo czytelny herb. Co mi się przypomniało? „Sień, wielka jak refektarz, z wypukłym sklepieniem, na filarach; podłoga wysłana kamieniem.... herb Horeszków, Półkozic, jaśniał na skiepieniu". Z sieni otwierały się drzwi do ciemnej jadalni, wykładanej dębem, i dwa półkola schodów wiodły na pierwsze piętro. Nic tu z dawnych czasów nie pozostało: wszędzie łóżka dziecięce, długie stoły, taborety. Nie tak wyglądał zamek za Tyszkiewiczów nie tak przedtem jeszcze za Zabiełłów, inaczej jeszcze, gdy był Rotenburgiem: przechodził przecie, powiada Kamerton, zmienne koleje świetności, letargu i upadku, stawał się pastwą płomieni, przebudowano go na nowoczesny pałac, aż z pałacu przeobraził się w sierociniec.

Ale dolne mury są wciąż grubości dwóch metrów, i okna w nich, tworząc głębokie wnęki, przysiadły nisko do ziemi: ten parter musiał pozostać od najdawniejszych czasów. Pozostała również przytykająca do zamku z lewej strony jedna, wysoka, okrągła baszta, która napewno podczas mgły rannej wyda się dwakroć wyższa Jej potężny mur u dołu, świadczy, że mimo przeróbek późniejszych, musiała być obronna. Czerwona cegła uwydatniała okazałość i powagę całej budowli, ożywionej głosami dziecięcymi. Chodziłem po parterowych i górnych pokojach — jak Hrabia z Gerwazym — tak ja z Litwinką. Ale tu ja byłem Gerwazym, rozpamiętującym przeszłość nieznaną Litwince. „Przeszli już kilka komnat, Gerwazy w milczeniu, tu wzrok na ścianie wstrzymał, ówdzie na sklepieniu...". Milczenie trwało chwilę. Nakoniec przerwałem je, nie trzęsąc, jak Gerwazy, wzniesioną prawicą, lecz uścisnąwszy dłoń Litwinki, która wyciągnęła ją do mnie, na pożegnanie. Odjeżdżałem unosząc pod powieką, widoki niezwykłe i nowe, widoki romansowe. Może miałem istotnie głowę romansową? Chciałem zacząć z mickiewiczologami proces o zamek czerwonodworski. Ale się zląkłem, że sprawa po wielu kosztach i ukazach (profesorskich), pociągnie się tak długo, że i w dwóchsetną rocznicę „Pana Tadeusza" nie zakończymy jej.

8. WAHRHEIT UND DICHTUNG

Usłużna pamięć, zachowująca najsubtelniejszą grę światłocienia, konkretność, plastyczność, autopsja i tym podobne mądrości mają swoją granicę. Nie można do nich przywiązywać wagi decydującej, twórczość poetycka bowiem zasadza się nie tyle na odtwarzaniu „najsubtelniejszego kolorytu rzeczy i ludzi", ile właśnie na przetwarzaniu ich i kombinowaniu. Rozstrzyga czynnik wyobraźni, którą poeci posiadają w wysokim stopniu, a której nazbyt często brakuje ich uczonym wykładaczom. Twórczość poetycka nie jest fotografią, ani geometrią. Jest ona jak permutacje matematyczne, w których różne elementy poddane bywają przestawieniem, przełączeniom, zmianom porządku i kolejności, skojarzeniem najrozmaitszym, rozczłonkowaniom i scaleniom. Z trzech zaledwie elementów: a, b, c — możemy ułożyć już sześć permutacji: abc, acb, bac, bca, cab, cba.... Cóż dopiero, jeśli takich pierwiastków jest wiele, jest mnóstwo! Tuhanowicze, Zaosia, Worończe, Cząbrowy, Horbatowicze, Holszany, Kuszelewa, Pucewicze, Kołdyczewa — i tam dalej, i tam dalej — wszystkie te miejsca, widziane i ukochane przez poetę, uległy w epopei permutacjom, składając się na obraz wymarzony i upiękniony, potrzebny poecie, jako grunt do wyimaginowanej akcji, jako owo wyidealizowane centrum polszczyzny. W tych permutacjach mógł się bezwątpienia znaleźć i Czerwny Dwór kowieński.

„Wer den Dichter will verstehen, muss in Dichters Lande gehen": nienadaremno tę myśl mądrą położył Mickiewicz, jako motto do Sonetów Krymskich, które są również poetycką permutacją. I być może, głębiej jeszcze niż Goethe, rozwinął tę myśl w jednym z najbardziej przejmujących swych liryków: „Gdy tu mój trup w pośrodku was zasiada, w oczy zagląda wam i głośno gada, dusza wtenczas daleka, ach daleka! błąka się i narzeka, ach, narzeka! Jest u mnie kraj, **ojczyzna myśli mojej...** piękniejszy kraj, niż ten, co w oczach stoi...".

Dlatego też wielką rację ma Przyboś, gdy w swym studium o „Panu Tadeuszu" powiada: „W opisie literackim nie chodzi ani o dokładność ani o bogactwo szczegółów. Chodzi o to, żeby był taki, by wyobraźnię pobudzał do tworzenia wyobrażeń, a nie zacieśniał do określonych, a więc ograniczonych cech przedmiotu. W poezji nie chodzi o malowany słowami obraz, bo nigdy przedmiot nie może być słowami dość, to jest w pełni takiej jak na płótnie, namalowany. Czyli przedmiot nie może być opisany tak, żeby był widzialny bez pracy fantazji. Chodzi o pobudzenie wyobraźni"

I, naturalnie Mickiewicz nie miał tak „usłużnej" pamięci, by zapamiętywała „najsubtelniejszą grę światłocienia i kolorytu". To jest niedorzeczne. Bo ta gra zmienia się co sekunda, co ułamek sekundy. Mickiewicz miał przepotężną fantazję poetycką. Oto sekret geniuszu.

Jerzy Wyszomirski

P.S. Wszystkie cytaty, t.j. słowa i zdania, ujęte w cudzysłów, przy których nie jest podane źródło (np. ziarenko, zakiełkowało, kopuła wzniosłości etc), pochodzą z dzieł naszych mickiewiczologów, jak: Kallenbach, Pigoń i in. **J. W.**

*) O tym „światłocieniu" warto poczytać w bardzo mądrej rozprawie Przybosia p.t. „Widzę i opisuję" („Twórczość", luty 1948). Przyboś jest poetą i wie, co to jest światłocień w poezji.

*) Adam Mickiewicz do Jana Czeczota i Tomasza Zana w liście, datowanym z Kowna **dn. 10 maja r. 1820.**

Dokoła Narodowego Wydania dzieł Adama Mickiewicza

Wydanie Narodowe Dzieł Adama Mickiewicza realizowane przez Spółdzielnię Wydawniczo - Oświatową „Czytelnik" nawiązuje do naukowego Wydania Sejmowego tylko częściowo zrealizowanego przed wojną.

Po ukończeniu tego Wydania projektowano wtedy kilkutomowy wybór dzieł Poety, który miał się ukazać w dużym nakładzie, mający zaspokoić potrzeby najszerszych warstw społeczeństwa.

W 1945 roku Krajowa Rada Narodowa opierając się na postulatach umasowienia kultury odwróciła projektowaną przed wojną kolejność: postanowiono najpierw wydać wydanie masowe odkładając na potem ukończenie edycji naukowej o nakładzie zmniejszonym.

Wydanie Narodowe korzystać więc będzie w pełni z dorobku Wydania Sejmowego posługując się ustalonymi tekstami, daje jednak inne opracowanie dostosowane do zamierzonego celu upowszechnienia dzieł Poety.

Całą twórczość Mickiewicza rozplanowano w Wydaniu Narodowym na 4 serie obejmujące 15 tomów.

Na pierwszą serię — tomy I—IV — o objętości 1700 stron złożą się utwory poetyckie. Tom I zawiera drobne poezje w opracowaniu Leona Płoszewskiego, tom II — powieści poetyckie w opracowaniu Konrada Górskiego (Grażyna, Konrad Wallenrod, Giaur i młodzieńcze próby poetyckie i przekłady), tom III — utwory dramatyczne a więc przede wszystkim „Dziady" w opracowaniu Stanisława Pigonia i tom IV — Pan Tadeusz w opracowaniu Juliana Krzyżanowskiego.

Seria II — tomy V—VIII — obejmuje pisma prozaiczne: Księgi Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego, artykuły literackie, pisma historyczne itd.

Seria III — tomy VIII—XI będzie zawierała literaturę słowiańską, tzn. wykłady paryskie Mickiewicza oraz artykuły z Trybuny Ludów.

Seria IV — tomy XII—XV obejmie przemówienia (1 t.) i listy (3 t.).

Tak w lakonicznym skrócie przedstawia się całość Narodowego Wydania Dzieł Adama Mickiewicza od strony zawartości wewnętrznej.

A szata zewnętrzna?

Według zebranych przez nas informacji Spółdzielnia Wydawniczo - Oświatowa „Czytelnik" dołożyła wszelkich starań w celu nadania szacie zewnętrznej dzieł największego poety najestetyczniejszego wyglądu. W tym celu zamówiono specjalnie wysokogatunkowy papier bezdrzewny. W dbałości o estetykę układu graficznego sprowadzono nowe czcionki, o pięknym kroju i wielkiej wytrzymałości niezbędnej przy dużych nakładach (projektuje się nakład 100.000). Druk pism poety, które mają „zbłądzić pod strzechy" powierzono Drukarni Narodowej w Krakowie znanej z artystycznych wydawnictw książkowych.

Przedpłata na Narodowe Wydanie dzieł Adama Mickiewicza

trwa do dnia 15 października br.

prosimy wypełniać czytelnie

DEKLARACJA

Niniejszym zamawiam w przedpłacie pierwszą serię Narodowego Wydania Dzieł Adama Mickiewicza (4 tomy — 1700 stron — całość twórczości poetyckiej). Należność w sumie 800 zł zobowiązuję się wpłacić na konto PKO Nr I-7474 jednorazowo, albo w ratach (nie mniejszych niż 200 zł.) najpóźniej do dnia 15 października 1948 r.

(Nazwisko) (Miejscowość)

(Imię) (Ulica, Nr domu)

(Zawód) (Poczta, Powiat)

(podpis)

Wyciąć, nakleić na kartkę pocztową i przesłać pod adresem: Warszawa, ul. Daszyńskiego 14, „Czytelnik", Instytut Wydawniczy.

KAZIMIERZ BRANDYS

A N T Y

Długi czas nie wiedziałem, dlaczego życie Ksawerego Szarleja wydało mi się godne opisania. Zapewne pociągnęła mnie jego burzliwość. A równocześnie bezradność, mimo pozorów tak bardzo odmiennych. Dziś, kiedy je rozważam, widzę to życie z wielkiej odległości. Przedstawia mi się podobnie do samotnego drzewa o bujnej koronie lecz próchniejącym pniu, do drzewa wstrząsanego przez wiatry i deszcze. Los takich drzew nie jest wart zazdrości.

Starałem się w tej książce odtworzyć los człowieka w jego pełnym rozmiarze, w zmiennych kolejach, jakim zazwyczaj poddane jest życie ludzkie, oraz w świetle jego nieodwracalności. Stanowi ona często jedyną przyczynę, która najzwyklejsze życie przeobraża w antyczną tragedię. Przeciętne nieraz postaci kamieniały w zastygłe popiersia, a pospolite gesty osiągały wieczne cechy rozpaczy i bólu. Można je ujrzeć w okaleczałych posągach, odkopanych po dziesiątkach wieków.

Los nasz nie jest zawisły od gniewu i łaski bogów. Wiemy o tym. Ale żyjemy w świecie, który potrafił stworzyć groźne siły, równie nieubłagane jak gromy zmarszczonych brwi na Olimpie. Wolność ludzka zaczyna się wraz z ich poznaniem. Nie ma wolnego człowieka bez wiedzy o przyczynach swego losu.

O Ksawerym Szarleju nie napisałem w tej książce wszystkiego. Niektóre fragmenty jego życia musiałem pominąć, inne ująć w skrócie. Nikogo jednak nie zdziwi wiadomość, że jako młody człowiek dwa lata spędził na utrzymaniu u zamożnej właścicielki pralni, czy że w pewnych okresach jedynym źródłem jego dochodów były wygrane w baccarata. Znamienne w życiu naszego bohatera jest to, że uwierzył w sprawiedliwość sił rządzących jego światem i uległ im tak pokornie, jak w czasach starożytnych ulegano woli bogów. Zależy mi, aby to zostało zrozumiane. Aby zostało zrozumiane, że niewiedza, lęk i pokora są ziarnem zła w naszych latach.

„Zawsze ceniłem wolność... Sam siebie ulepiłem własnymi rękami... Gardzę ogólnie przyjętą moralnością..." To zdania, które często powtarzał Ksawery. Ten rycerz przemysłu, hochsztapler i niebieski ptak dość późno zaczął zdawać sobie sprawę ze swej klęski. Świat, jaki miał przed oczami, był zdobywany przez takich samych jak on. Wielcy selfmademani nie różnili się od niego ani urodzeniem, ani moralnością. Czyż nie miał prawa ufać, że zostanie jednym z nich?... Dlatego że się tak nie stało, opisałem jego życie. Życie, które utknęło na pograniczu świata posiadania i świata przestępstwa. Los, który się nie udał.

Urodził się w czasie, gdy niemal we wszystkich kodeksach globu było wypisane słowo: wolność. Prawa uznawały wolność — narówni z instytucjami niewoli. Własność i pieniądz stanowiły jedyny sprawdzian człowieczeństwa, produkcja i wymiana — jedyną afirmację bytu. Tę wiarę swojego czasu przyjął, nie odrzucił i poniósł jej wszystkie następstwa.

Czy staram się usprawiedliwić człowieka, który niewątpliwie był winny? Obawiam się, że ze strony ludzi, którzy słyszeli o życiu Ksawerego Szarleja, lub znali go osobiście — spotkają mnie podobne zarzuty. Ale wydaje mi się, że nie będą one całkiem słuszne. Zła w życiu naszego bohatera nie umniejszam, lecz tylko usiłuję dokładnie je zrozumieć. Nie przeczę, że w pewnych momentach wzbudzał we mnie litość, — ten szczególny rodzaj litości, jaki odczuwa się dla człowieka, który n i e w i e. Pamiętam, że kiedy w lipcu 1943 obserwowałem pierwszą jego po wojnie rozmowę z Orszyną w „café Felix" (znalazłem się tam przypadkiem) — odniosłem wrażenie zbliżone do lęku. Ten stary frant wydał mi się rozpaczliwie od czegoś zależny i nieopisanie samotny. A przecież wiedziałem już wtedy o jego interesach i o stosunkach z... Lecz o tym we właściwym czasie.

Błąd Ksawerego Szarleja tkwił w niezrozumieniu podstawowej zasady porządku, który przyjął był w całości. Zasada ta polegała na tym, iż wolność czynów była w nim rzeczywista jedynie w oparciu o bazę materialną. W oderwaniu od niej stawała się retoryką kodeksów. Ksawery nie zdołał tego zrozumieć. Posłużył się hipotezą wolności, rozmiłowany w naśladownictwie wysokiej stopy życia, również moralność wybrał sobie ponad własny stan. Przeniknął to dopiero, gdy było już zapóźno. Gdy nieodwołalnie się skazał na swój akrobatyczny los, który uwolnił wszystkich od niesienia mu pomocy.

Przewiduję również zarzuty: gdzie problem? Życie niebieskiego ptaka — czy doprawdy warte powieści? Rzeczywiście, lękam się, że nie dotknąłem tutaj żadnego z problemów, na które obecnie daje się odczuwać niesłabnący popyt. Krętacz, jako ofiara złego porządku świata — może to być uznane za niezbyt zręczny żart!

Ale właśnie — nie chcę tego ukrywać — najbardziej znęciły mnie pozory awansu i sukcesu, złudzenie dowolnych możliwości i swobód — w tej egzystencji w istocie tak, surowo ujętej w karby niedostrzegalnych praw.

Świat obdarzył jego ręce gestami panujących pragnień, włożył mu w głowę przez siebie stworzone myśli, naznaczył go osobliwą religią, wyznającą niezmienność krzywdy i użyteczność poniżenia. Świat narodził człowieka-narzędzie, człowieka-potwierdzenie, człowieka-wykonawcę sił rządzących światem. Nie ma tu miejsca na walkę, zaledwie na przebłyski wiedzy o własnej klęsce. Błędność tego losu, okólna droga, którą odbył znikąd do nikąd — to jedyny problem tej książki. Miała ona wyrazić odruch solidarności z tymi, którym świat odmówił godności swoich ofiar, których nacechował i odepchnął, pozbawiwszy nawet nienawiści. Zdaje mi się, że było ich więcej niż sądzimy, że są, że jeszcze się rodzą.

Historia stosunków Ksawerego Szarleja z Kaleniem, jej początek, liczne fazy jakie przebyła, a nadewszystko jej nieszczęsny koniec — nie sądzę, aby mogły być jawne dla wszystkich, nawet dla tych, co dobrze go znali. Z wielu wątków przeplatających jego życie, ten pragnąłem wysunąć przed inne, gdyż wydał mi się najbardziej znamienny. Dwoje ludzi, którzy niegdyś się kochali, bliscy, nieprzedzieleni niczym, musieli z czasem zakosztować wszelkich odmian swego związku, aby u kresu zrozumieć jak bardzo się nienawidzą. Mimo iż do siebie podobni — niemal jak brat i siostra, mimo że nic ich nie różniło, — żadna z ludzkich więzi — wbrew instynktownej sympatii, jaka, twierdzę, nadal istniała między nimi — nie była dość silna, aby ich połączyć.

Opisywane lata wlewały w ludzi lęk przed zepchnięciem na niższy stopień systemu i pogardę dla tych, co pozwolili się zepchnąć. Miłość, przyjaźń i wierność często nie potrafiły wytrzymać tego naporu. Starożytne dramaty obowiązków działy się w kręgu społecznie jednorodnym, tragedie namiętności były zamknięte w rodzinie. O ileż burzliwsze mogą się wydać przygody nowoczesnych bohaterów, ujęte w krzyżowe błyski wrogich światów, z których składał się świat.

Rządziły nimi nakazy przemilczanych praw. Istota porządku, któremu ulegali, była ukrywana jak hańba. Rodzili się już gotowi, by przyjąć ją na siebie wraz z pierwszą wiedzą o ludzkości. Tak wkraczali w życie. Słowo to posiadało wówczas dźwięk smutku i bezużytecznego przemijania, nadany mu przez myśl i sztukę dziesiątków lat, minionych i niewiele zmiennych. Dźwięk ten brzmiał podobnie w ustach wszystkich, co nie umieli dostrzec potęgi użytecznej zmienności. Przychodzi ona, skoro człowiek zaczyna pytać: dlaczego? — i walczyć o odpowiedź, kiedy zaczyna r o z u m i e ć i c h c i e ć. Czas, jaki wtedy nastaje, jest czasem mądrej nadziei.

Łatwo odgadnąć, że Ksawery Szarlej był pierwszym z nieświadomych i ostatnim z walczących. Ale kto o tym wiedział i zechciałby nad tym rozmyślać? Komu, komu z nas w owych latach przyszłoby do głowy, że najgłębsza przepaść, najtrudniej przekraczalna granica między ludźmi — dzieli ich na tych, którzy dali do siebie przystęp złym mocom swego świata, i drugich, co potrafili je odeprzeć. Jakiż inny podział mógł nie być złudzeniem w czasach, gdy słowa: czystość i grzech, sprawiedliwość i występek, dobro i zło — spełniały rolę znaków w systemie strzeżenia porządku.

Wielcy szkodnicy bywali dobrzy dla zwierząt, inni — dla swoich matek czy dla swoich kobiet. N i e m a l u d z i b e z w z g l ę d n i e z ł y c h, s ą t y l k o b e z w z g l ę d n i e z ł e u k ł a d y r z e c z y w i s t o ś c i. Znałem takich, którzy twierdzili, że Ksawery Szarlej był człowiekiem o dobrym sercu, a jego wady wynikały jedynie z lekkomyślności. Przypuszczam jednak, że i ta opinia jest nieco powierzchowna. Cóż jest dobrym sercem, a co lekkomyślnością? Jeśli idzie o mnie, uważałem go za człowieka zgubionego, za człowieka, który nie umiał się ratować. Nieumiejętność ta należy do wielkich gróźb naszego czasu, można w niej się dopatrzyć cech grzechu. Sądzę więc, że powyższa diagnoza zawiera także rodzaj oceny moralnej.

O czym świadczą przygody Ksawerego Szarleja? Po ileż razy zadawałem sobie to samo pytanie! Jeszcze jedna odmiana samotności, jeszcze jedna historia ludzkiej klęski, poniesionej od siebie i świata. Jedno więcej życie wyzbyte celu i sensu, odarte z cudzej pomocy i nie dające jej innym. Człowiek — fabrykat swojej epoki, niegorszy od wielu swych bliźnich, o duszy nietyle złej, co spaczonej, bezwolny raczej uczestnik niż główny winowajca. To wszystko, czego należy szukać w tej książce. Właściwym jej bohaterem jest przecież nie Ksawery Szarlej, lecz jego świat. Walący się świat, u którego kresu czekają nieprawdziwe i straszne dwa słowa: Umarł człowiek.

LATEM 1943 r. ludzie interesu, których sprawy gospodarcze łączyły z Niemcami, zaczęli myśleć o przyszłości. Wprawdzie granice General Gouvernement leżały jeszcze poza frontami wojny, niemniej jednak trudno było przed sobą samym zataić fakt, że Anglicy wdzierali się na kontynent od południa, podczas gdy Rosjanie na wschodzie dawno przestali się cofać i odbijając utracone niegdyś miasta — łapali Niemców w kotły. Ponadto naloty alianckie na Rzeszę przybrały rozmiary dotąd niespotykane: inżynier S. warszawianin, trudniący się dostawą szpitalnych łóżek dla Wehrmachtu, w czasie swej ostatniej bytności w Berlinie spędził noc w podziemiach UBahnu, wśród dzieci, kobiet i starców. Kiedy o świcie wyszedł na powierzchnię, jego hotel wyglądał jak stary piec rozebrany przez zduna, a z sześćdziesięciu domów w dzielnicy zostały tylko kopce gruzów. Po powrocie do Warszawy inżynier opowiadał o tym przy stoliku w „Café Felix" na Kredytowej, gdzie zbierali się poważni przedsiębiorcy wojenni, więksi handlarze walut, a także młodzi Żydzi w długich butach, współpracujący z Niemcami przy wysyłce niedobitków z ghetta do uzdrowisk szwajcarskich.

Orientacja polityczna w „Felixsie" była na ogół jednolita: obowiązek patriotyczny nie pozwalał opłakiwać klęsk armii niemieckiej, lecz światopogląd przestrzegał przed bolszewikami. Przełom stalingradzki został tu powitany w milczeniu. Od tego czasu przy miarodajnych stolikach ustaliła się opinia, że należy zerwać z romantyzmem politycznym. Inżynier S. pouczał: gdyby Polacy mieli realizm Anglosasów, już dawno walczyliby u boku Niemców z Rosją.

Mimo to jednak polski romantyzm nadal dawał się we znaki. Właśnie tego lata wzrósł terror organizacji podziemnych w stosunku do Niemców. Widocznie wpływ inżyniera na społeczeństwo nie był dostateczny. Po zamachach bombowych na lokale niemieckie w śródmieściu wyżsi urzędnicy gospodarczych resortów Gubernatorstwa dystryktu niechętnie przybywali na wyznaczone spotkania w „Felixie". Ludzie interesu po raz pierwszy spostrzegli w oczach swych niemieckich mocodawców — strach. Oczywiście, istniały wyjątki. Do nich należał przede wszystkim Albert Paust, generalny komisarz własności pożydowskiej.

„Café Felix" mieściła się na pierwszym piętrze nowoczesnej kamienicy, stanowiącej przed wojną własność braci M., przemysłowców żydowskich, z których jeden dorabia się obecnie nowej fortuny na handlu drzewem w Buenos Aires, drugiego zaś wraz z rodziną przepuszczono przez komin w Treblince. Z lśniącego od lustrzanych kafli hallu, gdzie znajdowała się szatnia, wiodły na górę schody, wysłane brązowym pluszem; wejście do pierwszej sali zasłaniała ciężka kotara, po obu jej stronach widniały dwie nowoczesne rzeźby, przedstawiające niedźwiedzia i łosia. Wnętrze urządzone było ze smakiem: na posadzce leżał wielki błękitny tebrys, sufitu sięgały ciemne holenderskie szafy, a w czterech rogach sali stały suto rzeźbione gdańskie skrzynie z zamkami kutymi w żelazie. Przeważna część urządzenia, w tym flamadzkie kopie wiszące na ścianach, pochodziła z komisu; właściciel lokalu, volksdeutsch, trudnił się jednocześnie handlem dziełami sztuki. Antyczne sekretery, kaukazkie chodniki, srebrne lichtarze z zamożnych mieszkań między placem Saskim, a placem Napoleona pojawiły się tutaj po raz pierwszy w roku 1941, po zamknięciu ghetta i przepływały tędy w ciągu dwóch lat, wracając nieraz poprzez „Café Felix" do swoich dawnych siedzib, zajętych w tym czasie przez nowych ludzi przemysłu i handlu.

Na takim tle postać Pausta zyskiwała, jak mówił Ksawery, wymiar historyczny. Kiedy rozsunąwszy kotarę, ukazywał się w sali, wysoki, barczysty, w swej zamszowej kurtce, w żółtych tyrolskich butach z chwastami i białych pończochach na nogach można by sądzić, że jest tutaj u siebie, wśród własnych mebli i sprzętów. Nie należało jednak tego tłumaczyć złośliwie: aczkolwiek jego stosunek do mienia odebranego Żydom był określony prawnie, Paust dał liczne dowody, iż jest Europejczykiem — na tym, czego pozbawiał Żydów, pozwalał zarabiać Polakom. Jego rudawa, ptasia głowa o wypukłych oczach koloru ołowiu cieszyła się popularnością.

Tutejsze kelnerki (w większości były girlsy z pomniejszych teatrzyków lub były panny z pomniejszych dobrych rodzin) mówiły o nim: pan Albert. Te, którymi interesował się bliżej, twierdziły, że jest dobroduszny w momentach, kiedy należy być gwałtownym. Dla codziennych bywalców „Café Felix" stanowił wcielenie potęgi Trzeciej Rzeszy, jakkolwiek nie było tajemnicą, że pochodził z przemysłowej rodziny polskich Niemców w P., a matkę miał Dunkę. Sam Paust nie ukrywał również, że szkoły kończył w Szwajcarii, wyższe studia w Anglii, w Niemczech zaś posiadał jedynie kilku przyjaciół z czasów oxfordzkich. Domyślano się wszakże, że jego przyjaciele musieli odgrywać znaczną rolę w administracji Rzeszy. Ksawery, który był z Paustem blisko, gdy go o nich pytano, składał usta jak do gwizdania, co miało wyrażać dyskrecję. Zakłady włókiennicze Paustów w P., niegdyś słynne w Królestwie pod firmą „Fortuna", po pierwszej wojnie światowej przeszły w ręce belgijskiego koncernu. Zostały częściowo uruchomione w roku 1940, lecz pan Albert w tym czasie przebywał już w Berlinie, skąd wrócił po kilku miesiącach, jako znawca zagadnień warszawskiego ghetta. Internacjonalizm przydawał mu uroku. Fizycznie nie przedstawiał typu Prusaka: można go było wziąć za Holendra, Anglika, a nawet Żyda, na skutek jego mięsistych, szeroko rozciętych ust i kręconych włosów. Młodzi, ruchliwi agenci żydowscy, współpracujący z Aleją Szucha, nazywali go między sobą „Albertem". Podobno dawał im zarabiać na walutach. Kłaniali mu się z uśmiechem, mówiąc: Heil Hitler — na co Paust odpowiadał uprzejmie: — Guten Tag. W „Felixie" miał swój stolik w zagłębieniu pod oknem, gdzie zwracał uwagę biały gors i czernione wąsy Ksawerego Szarleja, do którego czuł słabość. Przy stoliku rozmawiano po polsku. Paust o Niemcach mówił w trzeciej osobie liczby mnogiej: „wymagają posłuszeństwa i lojalności", nigdy „wymagamy posłuszeństwa i lojalności" — co sprawiało sympatyczne wrażenie kultury i obiektywizmu. Można było rzec, iż pan Albert z godnością reprezentował naród niemiecki w „Café Felix". Większość bywalców kawiarni uważała ów naród za wielki, ponieważ jego armie pancerne w dwa tygodnie podbiły Francję; inni uzasadniali tę wielkość wydaniem na świat Goethego i Lessinga. Trudno rozsądzić, która opinia jest słuszna. Być może, iż nie istnieją wielkie narody, lecz tylko wielkie okresy w historii narodów.

Nazajutrz po niespodzianym spotkaniu z Orszyną w „Felixie", które napełniło go zdumieniem, Ksawery postanowił zwrócić się do Pausta z propozycją wspólnych odwiedzin w Kaleniu. Sprawa kontyngentów, jakimi obarczono majątek, była, rzecz prosta, bez znaczenia: tamtejszy Kreislandwirt, świeżo adoptowany syn narodu niemieckiego, prześladował Kaleń, jako rodzinne gniazdo generała Orszy, obecnego dowódcy brygad polskich w Szkocji. Ksawery przyrzekł to załatwić. Ciekawiej przedstawiał się projekt zetknięcia Pausta z tajemniczym nieznajomym, który miał tego dnia przybyć do Kalenia. „Jeśli będę roztropny i nie zrobię pudła — przemyśliwał Ksawery — mogę podwójnie zasłużyć się ojczyźnie. Po pierwsze uchronię od zagłady majątek człowieka, który, niewykluczone, wjedzie do Warszawy na białym koniu, przez Trzeci Most, po drugie wyświadczę usługę konspiracji, kontaktując ją z człowiekiem, w którego ręku, jak mówią wkrótce spocznie los przemysłu w GG, po trzecie — możliwe, iż tenże człowiek będzie mi miał do zawdzięczenia swą osobistą nietykalność od strony podziemia". Ponadto Ksawery chował w głębi duszy sentymentalną nadzieję, że Paust wyjedna dla niego komisaryczny zarząd Kalenia. Gdyby uzyskał od Niemców oficjalny tytuł do niszczenia majątku Orszów — nie korzystając z tego, dałby niezbity dowód, że nie był na ich usługach. „Aby stworzyć sobie alibi — osądzał — trzeba się nieraz posuwać aż do uczciwości". — Porozmawiam z Paustem, proszę na mnie liczyć — rzekł do Orszyny, wyrażając skłonieniem głowy przy pożegnaniu trwający dramat narodu oraz niepamięć fatalnej nocy w Kaleniu przed czterema laty.

Kiedy następnego dnia Ksawery napomknął w „Felixie" o korzyściach, jakie mogłyby wyniknąć ze wspólnej przejażdżki, Paust, swoim zwyczajem, z początku udawał, że nie słyszy. Ksawery przyjrzał mu się bystro, poczem zmienił temat i zaczął opowiadać przedwojenne żydowskie dowcipy. Paust uśmiechał się i kiwał głową. Tego dnia był nieco senny; Ksawery zwątpił, czy cokolwiek uzyska. Dopiero kiedy zbierali się do wyjścia, usłyszał, że Paust pyta, czy folwark Orszów nazywa się Kaleń. Jego przyjaciel, major wojsk pancernych, stacjonował tam wraz ze swą kolumną we wrześniu 1939 roku. Doznał podobno rycerskiego przyjęcia ze strony starej dziedziczki, o której mówił: „Die alte Gräfin". Paust był ciekaw ją poznać.

Pałac kaleński nic nie utracił z swej dawnej piękności. Wojna nie wycisnęła tu śladów, przeciwnie — spokój i zasobność tego miejsca — zapewne siłą kontrastu — wydawały się bardziej niewzruszone niż dotychczas. Można to było tłumaczyć majestatem tradycji, jak również tym, że folwarki położone blisko większych miast wzbogacały się w owych latach na dostawie żywności. Obfitość urodzajów, zacofanie gospodarki rolnej i zmysł praktyczny posiadaczy ziemi wytworzyły stan anarchii, w której zgubili się przede wszystkim Niemcy. Krążyło powiedzenie, że trudniej ukryć w Holandii jedno jajko, niż trzodę świń w GG. Cywilizacja techniczna mściła się na narodach.

Gdy szary Mercedes zatrzymał się przed gankiem, Paust zamknął motor, poczem powoli obrzucił wzrokiem białe kolumny. Wielkie palmy w kamiennych donicach sięgały niemal połowy ich wysokości. Od parku płynęła szeleszcząca cisza, było go-

G O N A *)

rąco. Słońce rozpryskiwało się po żwirze i listkach żywopłotu, kładąc śliski połysk na plecach najad, podtrzymujących zegar. Niebo, błękitne, wysokie, obejmowało sfalowaną nizinę od smugi lasu za parkiem po żółto-zielone szachownice pagórków na zachodzie, z czerwonymi kropkami pasących się krów. — Tu nigdy nic się nie zmieni — powiedział Ksawery.

Orszyna w chwilę potem wyszła do nich na ganek. Mimo gorąca miała na sobie suknię z czarnego jedwabiu, bez ozdób, spiętą wysoko przy szyi broszką z topazem. Opierała się na tej samej laseczce, co przed dziesięciu laty. Tych dziesięć lat sprawiło, że twarz jej wydawała się jak gdyby młodsza; zdarza się tak nieraz u kobiet po sześćdziesiątce: zwiotczałe mięśnie zaczynają schnąć, przez co rysy maleją, a z twarzy ubywa zarazem lat i życia. — Schowała biżuterię — zanotował Ksawery, spostrzegłszy jej dłonie pozbawione pierścionków. Postarał się, aby Pausta zaprowadzono do łazienki, zostali więc przez chwilę we dwoje na ganku. Ksawery oddał służącemu kapelusz, laskę jednak zachował przy sobie; od niejakiego czasu czuł się pewniej mając ją w ręku. Ubrany był tego dnia w garnitur z szarej flaneli; u dołu zwisał z niego trochę, odkąd spadł mu brzuch, wyżej natomiast zrobił się ciasny, gdyż pierś wzdęta przez astmę rozszerzyła się na niekorzyść szyi. Jakkolwiek przygładził włosy i poprawił krawat, nie wyglądał młodziej: pod oczami miał ciemne worki, a także ręce zmieniły mu się dość wyraźnie; wierzch dłoni pokrywały brunatne plamki, odcień paznokci był siny. Oboje przypatrywali się sobie uważnie, trwało to sekundę, lecz każde przez tę sekundę zdążyło współczuć drugiemu. — Nic się tu nie zmieniło — przerwał ciszę Ksawery, ruchem ręki wskazując kolumny, szpaler i klomb. — Prócz ciebie... — dodał w myśli, poczem powiedział głośno, że Paust jest uprzedzony o wszystkim i że dzięki jego staraniom zainteresował się troskami Kalenia.

— Czy wie — spytała Orszyna — o właściwym celu spotkania? — Ksawery potwierdził i zerkając do wnętrza pałacu w poszukiwaniu tajemniczej osobistości, zapewnił, że gwarancja bezpieczeństwa jest zupełna. Orszyna darowała mu pobłażliwy uśmiech: o to zatroszczył się sam nieznajomy. — Oczywiście — mruknął Ksawery — oczywiście... „Jeśli przyjechaliśmy tym Mercedesem prosto w jakąś zasadzkę — pomyślał — to nawet skoro nas stąd wypuszczą, Paust po powrocie każe mnie powiesić..." Widocznie nie zdołał ukryć niepokoju, gdyż Orszyna uśmiechnęła się po raz drugi i rzekła, że gwarancja bezpieczeństwa jest zupełna.

Przystąpili więc do ustalenia szczegółów. Sprawę folwarku uznała za możliwe poruszyć przy śniadaniu. Spytała, czy z Paustem można mówić szczerze. — Tak samo jak ze mną! — wykrzyknął Ksawery osłaniając się rękami ze zgorszeniem. Orszyna przyjrzała mu się nie bez ironii: czy jesteś tak obłudny, czy tak głupi, że sądzisz, iż mogłabym ci ufać... Ksawery zrozumiał ów wzrok i odparł złośliwie: — Znając ten dom, nie wątpię ani na chwilę, że człowiek niegodny pani zaufania nie mógłby przekroczyć jego progu.

Było jego najgłębszym przekonaniem, że ludzi różnią tylko sytuacje, nigdy pojęcia moralne. Wojna utwierdziła go w tym do reszty. Najbardziej drażnili go ci, w których przeczuwał podobnych sobie, a którzy nie chcieli tego podobieństwa uznać. Do takich należała Orszyna. — Dopóki ostatni Niemiec nie opuści tej ziemi, nikt nie ujrzy na mnie innej barwy niż kolor żałoby — mówiła wskazując oczami swoją czarną suknię. Ksawery pochylił głowę i rzekł, iż od razu się tego domyślił, lecz o nic nie chciał pytać z szacunku dla cudzych cierpień. W tej samej chwili usłyszał, że Orszyna wymienia imię Tola. Gdzież się podziewa ten chłopiec, którego tak lubiła. Po majówce w 34 roku nie widziała go już ani razu. Ksawery przymknął oczy, aby zataić przed nią własny wzrok. Ze sztuczną swobodą odparł, że Tolo jest w Warszawie, bardzo się usamodzielnił i jak zwykle utrzymuje z ojcem stosunki koleżeńskie. Umilkł, jakby zmęczony tym co powiedział; istniały jeszcze kłamstwa, które przychodziły mu z trudnością. Tola nie widział przecież od roku 40. Milczeli chwilę, i tym razem Orszyna, która oczy miała bystre, pochyliła głowę, jak gdyby chcąc z kolei wyrazić w ten sam sposób szacunek dla cudzych cierpień.

Nadchodziło południe, słońce stało nad klombem, szpaler, żwir na ścieżkach i kamienny zegar jarzyły się ostrą bielą upału, park umilkł; w ciszy, napełnionej skwarem, dolatywały tylko cienkie głosy dzieci z czworaków. We wnętrzu pałacu rozległ się stłumiony dźwięk gongu. — To tutejszy zwyczaj — uśmiechnęła się Orszyna widząc zdziwienie Ksawerego. — Na śniadaniu nie będzie nikogo prócz nas i naszych dwóch przyjaciół.

W znanym już salonie z lustrami zastali Pausta, rozmawiającego obok kominka z nieznajomym mężczyzną. Orszyna dokonała prezentacji, wymieniając tylko nazwisko Ksawerego. Nieznajomy podał mu rękę i przez moment przesunął wzrokiem po jego twarzy. Dłoń i spojrzenie były chłodne. — Kto to jest? — zastanowił się Ksawery, uprzytamniając sobie, że widywał gdzieś tego człowieka. Usłyszał pytanie, czy jest ojcem Juliana Szarleja, a potem swoją odpowiedź: — Tak, to mój syn... — Spojrzał na niego ze starczym lękiem, jak gdyby prosząc: oszczędź mi złej nowiny, ale nieznajomy wyjaśnił sucho, że Julian z początku wojny był w Paryżu, a obecnie znajduje się w Wielkiej Brytanii. — Czy pan jest tego pewien? — wyszeptał Ksawery. — Widziałem go przed miesiącem — odparł spokojnie nieznajomy.

Ksawery chciał pytać dalej, gdy przerwał mu ostry głos Orszyny, zapraszający do stołu. Zrozumiał, że popełnił niezręczność, mącąc program spotkania swoimi sprawami, które były tu najmniej ważne. Zmusił się do spokoju i usiadł na krześle, wskazanym mu przez Orszynę. Paust jadł w milczeniu, dużymi kęsami, zachowując się jak człowiek niezainteresowany sąsiedztwem; siedział między Orszyną a nieznajomym, który z kolei po swojej lewej ręce miał Ksawerego. Rozmowa się nie kleiła. Ksawery wyławiał strzępki zdań, pochłonięty panowaniem nad widelcem i nożem; w ostatnich czasach dokuczało mu drżenie rąk, wspólne posiłki coraz częściej stawały się próbą nerwów.

— Postrachem tej okolicy nie są Niemcy — mówiła Orszyna — lecz kozacy Własowa, z którymi prowadzę wojnę. — Opowiedziała zabawne zdarzenie o ich najeździe na dwór przed niespełna miesiącem, kiedy ze stopni ganku wygłosiła do nich przemowę po rosyjsku, przeplataną wierszami Lermontowa, których uczono ją na pensji. Wzruszyła podobno najbardziej zatwardziałych, kilku starszych płakało, dwór został ocalony i wszystko skończyło się zgwałceniem czternastoletniej córeczki rządcy. — Poezja spełnia cuda — zauważył Ksawery — szkoda, że rządca nie znał Lermontowa.

Służący poruszał się bezszelestnie, dywan w salonie był puszysty, Orszyna wskazywała wzrokiem komu należało usłużyć. Ksawery, który wypił sporo, poczuł się nagle weselej. Przyszło mu na myśl, że dzień dobrze się zaczął: pierwsza wiadomość o Julianie od początku wojny... Przecież sądził już o nim, że przepadł. Byłby rad podzielić się z kimś swoim wzruszeniem, miał jednak tyle trzeźwości, aby pamiętać, że jego wzruszenia nikogo tu nie obchodzą. Spotkał oczy służącego, który pochylił się nad nim z półmiskiem. Ksawery uśmiechnął się do niego, myśląc: „Może on jeden troszkę by się ucieszył, bo mnie nie zna" — lecz służący uniósł brwi ze zdziwieniem, jak gdyby dotknięty. — Niemcy — odezwał się drewniany głos Pausta — stosują ostre środki, ale znają zasady fair play. Zwłaszcza wobec kobiet. — Chrząknął i dodał, że w Warszawie mieszka była żona generała C., obecnego wiceministra w Londynie, której nie spadł włos z głowy. — Czy nie zechciałby pan pouczyć o tym naszego Kreislandwirta? — spytała Orszyna dość cierpko. Ksawery zaniepokoił się. „Pycha tych ludzi — wykrzyknął w duchu — każe im nie ukrywać pogardy nawet wobec tych, z którymi chcą zrobić interes!" — Owszem — zgodził się Paust. Przyrzekł, że w najbliższych dniach Kreislandwirt otrzyma instrukcje z Propaganda Abteilung SD. — Pańska twarz — szepnął Ksawery do nieznajomego, korzystając z tej wymiany zdań — pańska twarz wydaje mi się znana... Czyżbyśmy się już kiedyś spotkali? — Trącił nieznacznie jego kieliszek i wypił łyk, zerkając przezornie na Orszynę. Nieznajomy nie podjął jednak rozmowy i patrząc przed siebie wyjaśnił obojętnie: — Być może. — Ksawery popadł w chwilowe przygnębienie, przygasł i zwiesił głowę; na talerzyku przed sobą zobaczył różowe lody z wetkniętym ciasteczkiem. Paust spożywał je powoli, dużymi kawałami, popijając winem. Orszyna opowiadała teraz o wyjeździe księżnej Radziwiłłowej z Warszawy. Podobno tego dnia padał ulewny deszcz, pociąg specjalny, który miał odwieźć księżnę do Rzymu, długo nie nadchodził. — Nie chciała przyjąć parasola z rąk młodego oficera SS, przydzielonego jako eskorta. Ktoś z odprowadzających przyjaciół powtórzył jej słowa: „Dziękuję panu. Proszę mi tego oszczędzić, abym musiała czuć dla pana wdzięczność"... Paust uśmiechnął się i zauważył, że jest to powiedzenie godne wielkiej damy. „Co za głupstwo — chciał sprostować Ksawery — do takich powiedzeń trzeba mieć sytuację, one zawsze ją mają; Niechby się nazywała pani Goldberg z Ciepłej i wieźli ją do pieca! Daliby jej parasol"!

Rozmowa zeszła na dynastię Sabaudzką, z którą rodzinę Orszów podobno również łączyły dalekie związki. — Książę d'Aosta był przez rok w Oxfordzie — zwrócił się Paust do nieznajomego — powinien go pan pamiętać. — Ksawery z trudem pohamował zdumienie: więc ci się znali sprzed wojny... — Był — potwierdził nieznajomy — o kilka lat przede mną. Poznałem go później, przy innej okazji. — Orszyna rzuciła jakieś zdanie po angielsku, wkrótce wszyscy troje zaczęli rozmawiać w tym języku i Ksawery przestał rozumieć. Nie przeszkadzało mu to jednak. Po winie czuł przyjemną senność, przymknął na chwilę powieki. Widocznie zasnął na kilka sekund, bo przez ten czas zdążyła mu się przyśnić twarz Tola. Przy stole nikt nie zauważył jego drzemki, rozmowa dalej toczyła się po angielsku. Ksawery mógł swobodnie rozmyślać o wojnie, która rozdzielała ludzi. Kwiecień widział Tola na Marszałkowskiej wiosną 42 roku, ale Tolo nie chciał z nim rozmawiać. — Schudł — powiedział Kwiecień — oczy mu sposępniały — I nie pytał o mnie? — badał Ksawery. Nie pytał — przeczył Kwiecień dosyć okrutnie.

Z za pleców służący spytał półgłosem, czy jeszcze podać kawy. Wtedy Ksawery spostrzegł, że Orszyna, Paust i nieznajomy rozmawiają od pewnej chwili przy kominku, z filiżankami w rękach. Zawstydził się trochę i chciał szybko wstać, lecz zrobił to tak niezręcznie, że przewrócił kieliszek, który zazdzwonił o talerz. Orszyna posłała mu przez ramię zniecierpliwione spojrzenie, tamci dwaj nie przerwali rozmowy. Ksawery wysunął się po cichu z salonu, w przedsionku odnalazł swą laskę, poczem wyszedł na ganek i zaczął ostrożnie schodzić ze stopni.

Pałac błyszczał od żaru, podobny do ogromnego diamentu. Gładkie ściany, szkło szyb, lśniąca blacha dachówki — skrzyły się w szczelnej oprawie światła. Ksawery oparł się na lasce i zamierzał ruszyć w stronę parku, gdy nagle w bocznym skrzydle zauważył twarz i ciemne oko, śledzące go zza firanki. Drgnął i poszukał monokla. „Czyżby jaka zasadzka?" — przyszło mu do głowy. Ale gdy spojrzał uważniej, w oknie nie było już nikogo. Czekał jeszcze minutę, patrząc to w ganek, to w okno, i miał już odejść w poszukiwaniu cienia, kiedy w słońce prawego skrzydła ukazał się mężczyzna w alpagowej kurtce i płóciennych spodniach i zaczął powoli okrążać klomb w jego kierunku. Ksawery osłupiał. Po czarnej opasce na oku poznał majora Decza.

— Co pan tu robi, majorze? — spytał ze zdumieniem, kiedy Decz znalazł się przy nim.

Major wzruszył ponuro ramionami i mruknął, że to samo pomyślał o Ksawerym, kiedy go spostrzegł z za firanki. — Pierwsza znajoma dusza. Od dwóch lat — dodał wlepiając weń swe posępne oko. Poczem obejrzał się niespokojnie w stronę ganku. — Chodźmy w alejkę — poprosił — stara nie powinna mnie tu widzieć. Dziś nie wolno nam wychodzić z pokoju. — Nam? — zdziwił się Ksawery. — Więc w pałacu mieszka ktoś prócz dziedziczki? — Osiem osób. Nie licząc mnie i żony — tłumaczył grobowo Decz. — Częściowo z Poznańskiego, częściowo z kresów wschodnich. Zeszłej jesieni wszyscy kopaliśmy kartofle. Niedługo znów będziemy kopać. Tak zwane ofiary wojenne. Wiliczki, jak pan zapewne wie, zostały przyłączone do Rzeszy.

Ostatnie zdanie wypowiedział tonem łagodnej godności, jakim drugi mąż zawiadamia pierwszego o śmierci ich wspólnej żony. Ksawery ocenił delikatność sytuacji i przyjrzał się Deczowi z odrobiną współczucia. Była to połowa dawnego majora Decza z epoki zarobków na „Fénacu". W dziobatej twarzy niezmienione zostało tylko oko, reszta jak gdyby spełzła; rozpięty kołnierzyk, wyłożony á la Słowacki, ukazywał wychudłą szyję z indyczymi workami. — Postarzał się pan — powiedział do Ksawerego — i wysechł. Hitler daje nam radę.

Patrzeli na siebie, obydwaj kiwając głowami. Decz widać nie miał tutaj z kim rozmawiać; dawniej mruk — teraz zrobił się gadatliwy. Opowiadał, że pozostaje na kaleńskim chlebie od roku 1941, kiedy musiał uciekać z Warszawy, bo Niemcy szukali go w mieszkaniu. — Bojowa przeszłość... — warknął ze złością. — To się mści. Od dwóch lat jestem tu unieruchomiony, żyję jak starzec. — Mój Boże — współczuł Ksawery — i to właśnie pan, taki obrotny... — Decz łypnął podejrzliwie okiem, węsząc ukrytą złośliwość i w dalszym ciągu narzekał, że Orszyna źle traktuje rezydentów, wymawiając im każdy kęs. Poczem łagodził na wszelki wypadek, że nie ma się czemu dziwić, i nazywał rezydentów bandą darmozjadów. — Mają jej za złe — tłumaczył — że uratowała majątek. A ona też ciężka cholera... Jemy osobno, do gości nie wolno wychodzić. Najgorsze, że nie ma do kogo ust otworzyć. Przynajmniej od czasu wyjazdu starego Bałturyna...

— Co? — stęknął Ksawery — Bałturyn?... Bałturyn tutaj był?

Decz spojrzał nań badawczo. Odparł, że profesor przyjechał tu pod koniec 42 roku, wciąż chory po Berezie, skąd go uwolnili bolszewicy. Prefekt z gimnazjum Kościuszki, który niedawno umarł w obozie, pisał wówczas w sprawie Bałturyna do dziedziczki. Wahała się, bo profesor miał opinię komunisty. Wreszcie zgodziła się przyjąć. — Jak tylko wyzdrowiał, zaczął tu buntować fornali, aż po wielkiej awanturze wyjechał. Teraz podobno się tuła w Warszawie. — Decz wygrzebał z kieszonki ogarek papierosa i obejrzał się za siebie. — Ludzi — szepnął — stara trzyma ostro za mordę. Od wojny nie chce im podnieść robocizny. Jak przyjdą bolszewicy, będzie tutaj rżnięcie. Ma pan papierosa?

Ksawery podał mu paczkę, Decz wziął kilka sztuk, poczem zapalił swój ogarek. Ograniczyłem palenie — powiedział ze złowieszczą satysfakcją. — Czasem tylko skręcam sobie kilka z tytoniu starej. Jeśli uda mi się zakraść do jej sypialni. Zdarza się także, że sama daje mi ździebło. Odgrywam tutaj rolę wielbiciela tego idioty, generała. Za tytoń opowiadam o nim jakieś bzdury. Zresztą stara traktuje mnie lepiej niż innych, ze względu na mój stopień. Człowiek zaczyna się u niej od dwóch pasków i gwiazdki. Ale w gruncie rzeczy wyżej ceni niekolczykowaną świnię niż człowieka. — Major umilkł i zatoczył wkoło swoim okiem.

— Podobno ma jakieś trudności z majątkiem — powiedział Ksawery. — Niemcy ją prześladują jako matkę Orszy.

— Bajki — sarknął major. — Nikt jej nie prześladuje. Powiem panu o co chodzi: stara chce się wzbogacić na wojnie i zrobić z Kalenia klejnot korony polskiej. Coś w rodzaju dawnych Puław. Ubrdała sobie, że będzie matką nowego księcia Adama. Dlatego wykręca się jednocześnie przed Niemcami i „lasem". Jednym wmawia, że drudzy zabierają jej kontyngenty. Przy tym trzęsie się ze skąpstwa. Na jej korzyść powiem, że sama nie dojada. Teraz szuka treuhändera, który by ją krył na dwa boki. Rozumie pan? Woli wyglądać na zgwałconą, niż się oficjalnie puścić.

— Rozumiem — zamyślił się Ksawery. — to niegłupie...

— Idzie... — mruknął nagle Decz — muszę uciekać...

Ksawery chciał go zatrzymać, ale majora już nie było. Krzaki głogu, w których zniknął, chwiały się jeszcze, gdy u wylotu alejki ukazała się Orszyna. Ksawery przybrał pozę człowieka pogrążonego we wspomnieniach i udał, że jej nie widzi. Odezwała się pierwsza: obaj panowie rozpoczęli w pałacu konferencję, zostawiłam ich samych po omówieniu z Paustem kaleńskich kłopotów.

— Dobra koleżność — zauważył Ksawery — najpierw Kaleń, a potem ojczyzna.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem i odparła spokojnie, że sprawy Kalenia nigdy nie były sprzeczne ze sprawami ojczyzny. Kaleń od wieków jest tutaj placówką polskości. — Gdyby nie my i nasza czujność, Polska byłaby tylko obszarem na mapie. Myśmy stworzyli ideę tej ziemi.

— Czy nie możemy mówić po prostu? — przerwał cierpko Ksawery. — W obcym języku można przy mnie rozmawiać, ale nie należy w nim do mnie się zwracać. Mówmy po polsku: czego się pani ode mnie spodziewa? Przywiozłem tutaj Pausta. Sądzę, że moja rola na tym się skończyła. Takie przynajmniej wrażenie odniosłem przy stole.

---

*) Fragment niniejszy stanowi rozdział powieści pod tym samym tytułem, która ukaże się wkrótce jako druga część cyklu „Między wojnami".

Ksawery przemawiał w imieniu instancji moralnych, co mu się rzadko zdarzało. W świetle zwierzeń majora Decza obłuda Orszyny wydała mu się niegodna. Wpadł w oburzenie tym szczersze, że jeszcze czuł się dotknięty lekceważeniem okazanym mu w czasie śniadania. Odniósł niejaki sukces: Orszyna była zaniepokojona. Kiedy, nie oglądając się, ruszył naprzód, stwierdził pod kilku krokach, że ona idzie za nim. Przystanął więc, oparty na lasce. Zatrzymała się koło niego, mówiąc, że jest zbyt raptowny i przywiązuje wagę do drobiazgów. Ksawery mógł sobie pozwolić na wzgardliwe milczenie — wiedział, że jest jej potrzebny. Stali w wąskiej alejce, utworzonej przez dwa rzędy grabów, splecionych koronami. Wśród ciasno splątanych gałęzi leżały smugi rozgrzanego powietrza. Ksawery twarz miał w cieniu.

— Idea tej ziemi... — rozpoczął — to nieźle brzmi. Znam ten język, aczkolwiek nim nie władam. Za każdym słowem rozciąga się dobrze uprawiony hektar. A w istocie sprawa jest jasna: chce pani zrobić interes. Proszę mi nie przerywać, nie obrażam pani. Po prostu używam w tej chwili własnego języka. Proszę posłuchać... Jesteśmy oboje dość posunięci w latach, aby rozmawiać ze sobą tak szczerze, jak wówczas, kiedy mieliśmy ich bardzo niewiele. Cóż nas różni? Pani ma folwark i cukrownię ja handluję biżuterią. Ma to jednak te konsekwencje, że pani wolno używać takich słów jak placówka i idea, a ja mogę najwyżej mówić o brylantach z węglem lub bez węgla. Lecz w gruncie rzeczy oboje chcemy zarobić.

Orszyna słuchała z ironicznie uniesionymi brwiami. Po rozdrażnionym ruchu jej dłoni ściskającej rękojeść laseczki, Ksawery poznał wszakże, iż jego słowa godzą celnie. Złość w nim na chwilę opadła; z odrobiną współczucia przesunął wzrokiem po jej pomarszczonej szyi, na której rozlały się wypieki.

— Pójdźmy naprzód — doradził po krótkim milczeniu — od ziemi ciągnie wilgoć. Pamięta pani tę majową burzę w 34 roku? Dziś nie mógłbym już tak żwawo uciekać jak wtedy... Ale powróćmy do naszych interesów. W głębi duszy myśli pani o mnie: stary łajdak, który kombinuje z Niemcami. Proszę nie protestować, obrażam tylko siebie. Otóż, moje kombinacje z Niemcami ograniczają się jedynie do ułatwień w zarobkach — nikomu przez to nie dzieje się krzywda. Każdy kto dzisiaj chce działać gospodarczo musi spotkać na swej drodze Niemca. Przypadek zrządził, że oboje spotkaliśmy Pausta. Ja skupuję dla niego biżuterię, pani ma kłopoty z landwirtem i z „lasem" — potrzebny jest pani treuhänder...

Ksawery uczynił przerwę, aby śledzić wrażenie swoich ostatnich słów. Orszyna nie patrząc mu w twarz odparła, że o jej stosunkach z konspiracją świadczy najwymowniej dzisiejsza wizyta nieznajomego. — Wszyscy w tej okolicy wiedzą — dodała — że kto przybywa z lasu, znajdzie schronienie w Kaleniu. Ilekroć zaczyna się walka, pierwsi posyłamy tam synów i chleb z naszego zboża. Dzieje się to nie od dziś. Tak samo było w 63 roku.

— Wtedy „las" był jeden — uśmiechnął się Ksawery — a dziś jest ich kilka rozmaitych. Obecność tego pana, który miesiąc temu rozmawiał w Londynie z moim synem, nie uchroni pani od kłopotów z jeko konkurencją. Ale nie w tym rzecz. Potrzebuje pani treuhändera. Przed kwadransem Paust dał pani do zrozumienia, że sprawa jest dla niego zbyt drobna, prawda? Obiecał, że pomoże w objęciu komisarycznego zarządu temu, kto pani będzie wygodny, i pozwolił się domyśleć, że według niego najlepszym kandydatem jestem ja... Dlatego przyszła pani tutaj, aby mnie odnaleźć, gdy znowu stałem się potrzebny. Proszę mi nie tłumaczyć, że było inaczej. Psychologię takich ludzi jak my znam na pamięć.

Orszyna usiłowała obrócić to w żart. Zaczęła się śmiać, trochę sztucznie, patrząc na Ksawerego z rodzajem zalotności, spojrzeniem, które równie dobrze mogło znaczyć: cóż za uroczy ekscentryk! — jak: pozwalam ci wykorzystać chwilę mojego pobłażania. Nazwała go nieznośnym człowiekiem, a siebie, która słucha podobnych herezji — szaloną. Ksawery spostrzegł jednak, że wypieki na jej szyi stały się krwawsze, z czego wyciągnął pomyślne wnioski. Wiedział, że Orszyna czeka na jego odpowiedź, więc — zwlekając z przyjęciem oferty — wpadał w coraz lepszy humor. Dochodzili właśnie do skraju parku. Rzednące pnie wpuszczały tutaj wielkie połacie nieba, krzaki co krok wątlejsze ustępowały miejsca bujnej, wysokiej trawie.

— Polana — zdziwił się Ksawery. — Zdaje mi się, że wtedy, przed burzą, chłopcy grali tu w piłkę.

Okrążyli ją powoli, uważając, aby nie potknąć się o korzenie, wśród których ginęła ścieżka. Polana była pusta, schowana wśród drzew, samotna i rozległa. W trawie rosły białe, przezroczyste mlecze; unosił się z niej kwaśny, duszny zapach. Słońce, które musiało niedawno ją opuścić, zostawiło po sobie znieruchomiałą falę powietrza napełnionego światłem i wokół senne milczenie gałęzi. Było tak cicho, że przystanęli, aby posłuchać bzykania owadów. — Tu nigdy nie będzie wojny... — szepnął Ksawery. Zamyślił się, a po chwili usłyszał za sobą głos Orszyny. Mówiła uroczyście, że wojna jak dotąd szczęśliwie omija Kaleń. Przez cztery lata od jej wybuchu raz tylko mieszkańców dworu obudził huk: to palma na ganku zakwitła tak głośno pewnej wiosennej nocy, po raz pierwszy od wielu lat.

Wracali ścieżką, biegnącą wśród szpaleru. Co kilkanaście kroków przez szczelinę w żywopłocie zaglądał sad. Ksawery szedł w milczeniu, oddychając nosem. Jakkolwiek minęła pora kwitnienia zbóż, lękał się mocnych zapachów. Czuł w piersiach chrobocące szmery, co mogło oznaczać zbliżający się atak. Prócz tego widok polany, z której niegdyś dolatywały okrzyki maturzystów, pogrążył go w smutnych myślach o Tolu. Słyszał, że Orszyna znów powraca do sprawy Kalenia i kontyngentów. Tłumaczyła, jak niewiele czasu zabrałyby mu obowiązki treuhändera, gospodarka prowadzona wzorowo, wystarczyłby jego przyjazd raz w miesiącu i śniadanie z Kreislandwirtem. Przy tym — opieka nad cukrownią zapewniłaby mu, wedle jej obliczeń, niewielki lecz stały dochód... Ksawery słuchał piąte przez dziesiąte, kiwając w roztargnieniu głową. „Po co tu przyjechałem — pomyślał z nagłą niechęcią. „Znowu ten park i ta stara... Wlecze się to za mną całe życie".

— Gdybyśmy oboje potrafili z dobrą wolą ułożyć nasze wzajemne stosunki — powiedziała Orszyna zwalniając kroku — sądzę, że zdołałabym pana uchronić od możliwych przykrości, na jakie mógłby pan być narażony po wojnie. Mój syn...

Ksawery w duchu wzruszył ramionami: „Biały koń — uśmiechnął się do siebie — z tym bęcwałem w siodle śni się jej pewnie po nocach".

— ...po uwolnieniu kraju będzie miał wpływ na te sprawy — zakończyła z naciskiem, bystro patrząc mu w twarz.

Przechodzili przez drewniany mostek, przerzucony nad wyschniętą fosą. Obrastało go pnącze dzikich róż, kolczaste łodygi wczepiały się w ubranie. Za mostkiem owiała ich wilgotna woń: sadzawka jak dawniej pokryta była złotą rzęsą, a nenufary tak samo spokojnie rozkładały swe płaskie kielichy.

Ksawery zatrzymał się nad brzegiem i końcem laski dotknął nieruchomej wody. Przyszły mu na myśl ich dawne kąpiele o zmierzchu, rozgrzane, muliste dno, zapach mokrego ciała. „To co przeżyliśmy w przeszłości — pomyślał — staje się po latach równie niezbadane jak to co nas czeka". Odwrócił się od Orszyny i objął ją zaciekawionym spojrzeniem. Wydała mu się podniecona rozmową, niecierpliwa, pod ostrym nosem nad wargą zebrały jej się kropelki potu; z sieci drobnych zmarszczek spoglądały na Ksawerego wypukłe, czujne źrenice starej kobiety. Pod tym wzrokiem Ksawery lekko się wzdrygnął i zaczął trzeźwieć ze wspomnień.

— Przesadnie pani ocenia moje winy — mruknął po namyśle. — Nie zginął z mojego powodu ani jeden człowiek. Jakie mogę mieć przykrości za handel biżuterią? — przerwał, wspominając niespokojnie fajansowe waterklozety, które rok temu dostarczał przez kilka miesięcy na front wschodni.

Milczeli chwilę. Na środku sadzawki plusnęła żaba. Ksawery poruszał laską leniwą powierzchnię wody, śledząc niknące kręgi. „Jeśli cię nie zmieniali od tamtego czasu — myślał — i pamiętasz nasze rozmowy z tych dni... to dzisiejsza musi cię trochę zadziwiać".

— A więc — powiedziała Orszyna półgłosem — słucham. Jesteśmy blisko pałacu, już czas...

— Dobrze — odparł Ksawery, nie odrywając oczu od sadzawki — skoro pani na tym zależy, mogę zostać treuhänderem Kalenia

W powrotnej drodze Paust nie był rozmowny. Na kierownicy wozu spoczywały jego duże dłonie w zamszowych rękawiczkach. Szosa biegła przez las, powietrze szarzało. Ksawery, który siedział po prawej ręce Pausta, wysyłał niespokojne spojrzenia w ciemne szeregi mijanych drzew. Lecz za wirażem las zaczął karleć i rzednąć, aż wreszcie łysnął słońcem zachodzącym wśród gałęzi; kabinę Mercedesa wypełnił czerwony blask. Paust zwolnił i oderwał lewą dłoń od kierownicy; jego nieruchomy profil lśnił jak miedź. Ksawery podał mu papierosa.

— Czy jest pan zadowolony? — zapytał ostrożnie.

Paust skinął głową. Mercedes cicho warczał po asfalcie.

— Co to za człowiek? — odezwał się Ksawery po chwili. — Zdaje mi się, że znam go sprzed wojny... Piękna ziemia — dodał wskazując łąki po lewej stronie szosy.

— Bielski — mruknął Paust. Ksawery długo szukał w pamięci, ale nazwisko nic mu nie powiedziało.

Mijali brzozowy zagajnik. W domkach za łąkami błyszczały szpary nieszczelnie zaciemnionych okien. — Piękna ziemia — powtórzył Ksawery. — Zna pan to powiedzenie: każdy kraj w Europie może zachować tylko to czego nie potrzebują Niemcy. Myśmy zachowali piękny krajobraz... Czy doszedł pan z nim do porozumienia?

Paust zahamował wóz. Znajdowali się niedaleko rogatki.

— To interesujący człowiek — mówił powoli. — Ale ja go nie rozumiem. Niech pan słucha, Szarlej: Ich działalność skierowana jest przeciw Rosji. Rozwiązanie sprawy żydowskiej było im na rękę. Ich organizacja tępi komunistów. A przy tym wszystkim on twierdzi, że historia każe im nienawidzieć Niemców. Gdzie tu logika, Szarlej? Ten człowiek mógłby stanąć na czele rządu GG. Wy wszyscy jesteście dziwnymi ludźmi.

— My mamy honor, herr Paust — odpowiedział Ksawery poważnie.

Na rogatce zatrzymał ich wzmocniony patrol żandarmerii z automatycznymi pistoletami. Paust pokazał papiery. Oficer oglądał je długo, poczem przyłożył rękę do hełmu. Pan Albert zamienił z nim w berlińskim dialekcie kilka krótkich zdań, których Ksawery nie zrozumiał. W moment później Mercedes ruszył w stronę miasta. — Co się stało? — zapytał Ksawery. Miasto było zmętniałe i parne, na przystankach cisnął się tłum. Ze stopni obwieszonych tramwajów ludzie zaglądali do ich auta, dolatywały śmiechy i gwar. — Ostre pogotowie — odparł Paust. — W mieście przed chwilą był zamach. — Na rogu Marszałkowskiej zagrodzili im drogę dwaj zdenerwowani lotnicy. Chcieli jechać do koszar na Puławską. — Andere Richtung — odburknął Paust, zapuszczając motor. Lotnicy krzyczeli, wściekli. W gęstniejącym powietrzu odcinały się jasne suknie kobiet i stragany z kwiatami. Koło Nowego Światu na stopień Mercedesa wskoczył mały sprzedawca gazet i wrzasnął ostatnią wiadomość: Anglicy wysadzili desant na Sycylii.

Kazimierz Brandys

JERZY KAMIL WEINTRAUB

WIERSZE O SŁAWIE I MILCZENIU *)

1.

Może sława, a może milczenie
chłodną rękę na czole mi złoży.
Może marmur, może tylko cienie
chwiać się będą, nim je noc pogrąży.

Może pamięć paru słów mozolnych
i ślad wiatru, co drogą przechodził
i blask rosy starł z kamieni polnych
i przeminął. I świt się narodził.

Może przejdą obojętnie mimo,
chociaż żyłem w ich sercach... samotny,
zasypany milczeniem, jak zimą,
strumień żywy, ale bezpowrotny.

Może jednak poznają i słowa,
jak garść ziemi do serca przygarną.
Wówczas gwiazda, jak wieczność stepowa.
Wiatr, jak dłuto. Noc, jak czarny marmur.

2.

Żem, jak drzewo oddychał w milczeniu,
to dlatego szeroka ma wiedza.
Żem w czułości się skrywał, jak w cieniu,
to, gdy idą, zawsze mnie wyprzedza.

Znam cię cieniu. Gdy idziemy razem
i u ramion szumią skrzydła mroku,
parzy ziemia rozpalonem żelazem,
wiatr unosi i szarpie niepokój.

Żeśmy chcieli świat i ludzkie sprawy
na serc naszych język przetłumaczyć,
kole oczy słońca blask złotawy,
bośmy tylko w noc umieli patrzeć.

Bośmy znali tylko czarne miasta,
czarnych ludzi z czarnej wzrosłych ziemi
i dlatego w jasność, co narasta,
wciąż oczami patrzym zmrużonemi.

LIŚĆ i GRANIT

Spójrz, poeto — za oknami cicha zima,
wiatr uśpiony, wkołysany w śnieg,
a na śniegu złoty promień, ślad pielgrzyma,
biegnie w wieczność na wysoki brzeg.

Spójrz, poeto — ty się tułasz liściem zwiędłym,
który kiedyś żywą wiosną kwitł.
Jemu chmury wieczną wiosnę z mgieł uprzędły,
osrebrzając granitowy szczyt.

Bowiem dwie są samotności i wzniesiony
między niemi niebosiężny mur:
jest samotność zwiędłych liści opuszczonych,
jest samotność granitowych gór.

Tyś zielenią krótkotrwałą sen osnuwał,
nim jesienny oderwał cię wiatr.
On do ziemi ciężką stopą wiatr przykuwał,
nim uskrzydlił wiecznotrwały ślad.

Ty drgający w sobie samym drobną kroplą,
wśród obłoków jakżeś długo trwał?
On wzniesiony nad prawdziwych snów budowlą,
był fortecą wojujących ciał.

Tyś chciał płynąć, życie minąć nad obłokiem,
lecz ten obłok jest z nieba i z mgły.
On granitem, który wykuł, wzrósł wysokim.
lecz ten granit jest z ziemi i z krwi.

Styczeń 1942.

*) Z mającego się wkrótce ukazać nakładem „Wiedzy" tomiku wierszy zmarłego tragicznie podczas okupacji poety.

CELINA BOBIŃSKA

Staszyc na tle swej epoki*)

I. MYŚLI PEDAGOGICZNE NA TLE ŚWIATOPOGLĄDU

STASZYC jako typowy myśliciel Oświecenia i to Oświecenia polskiego jest eklektykiem w swych poglądach. Znaczy to, że znajdujemy u niego ślady wielu wpływów i wielu koncepcji. Jak i cały postęp polski czerpał on z wielu źródeł. Wszystkie te źródła jednak są sobie pokrewne, gdyż płynęły z nurtu europejskiego Oświecenia, rewolucji umysłowej, która swoją potężną ofensywą poprzedziła rewolucję społeczną. Najbardziej widoczne są jednak u Staszyca wpływy dwóch myślicieli: Bouffon'a — szczególnie w dziedzinie objaśniania zjawisk przyrody i Rousseau'a, którego poglądy zastosowuje Staszyc w swej genezie społeczeństwa ludzkiego i analizie jego rozwoju i od którego wypożycza idealny wzór społeczny.

Staszyc jest deistą, gdyż w sposób charakterystyczny dla filozofii 18 wieku łączy racjonalistyczny sposób rozumowania, — przekonanie, że przyroda jest materialną, że rozwija się sama z siebie według praw rozwoju natury, z wiarą — w istnienie czynnika boskiego, który jest „rzeczy początkiem", który nakreśla cel rozwojowi świata.

Staszyc widzi świat, przyrodę w ciągłym ruchu, w rozwoju, w nieustannym doskonaleniu się i postępie.

W przyrodzie i na wzór tego w społeczeństwie (Staszyc przenosi prawa natury na rzeczy społeczne) panuje związek wzajemny rzeczy i procesów. Wszystko trwa w ogólnym potoku: „Nic nie istnieje oddzielnie", wszystkie zjawiska wpływają na siebie wzajemnie.

Do koncepcji filozoficznych, społecznych i ekonomicznych sięga Staszyc w związku z konkretnymi zagadnieniami życia społecznego. Teoria jest dla niego narzędziem analizy polskiego społeczeństwa, przy jej pomocy szuka sposobu uzdrowienia ojczyzny. Ale właśnie dzięki przyswojeniu osiągnięć zachodniej myśli burżuazyjnej, staszycowską analizę cechuje bezlitosny obiektywizm. Staszyc krytykuje polską feudalną rzeczywistość z punktu widzenia europejskiej filozofii, z punktu widzenia nowych i klasowo odmiennych od polskiej rzeczywistości kryteriów, prawd i norm społecznych.

Jak już wspomnieliśmy, w pojmowaniu człowieka i społeczeństwa wyraźnie przebija ogromny wpływ twórcy filozoficznych podstaw Rewolucji Francuskiej, ideologicznego ojca **„Deklaracji praw"** — Rousseau'a. Toteż u podstaw rozważań o człowieku i społeczeństwie leży „Prawo natury" i „Umowa społeczna". Z tego źródła zapożyczył Staszyc swego „człowieka natury", który dla obcowania ze światem obdarzony jest uczuciami a dla rozwoju i doskonalenia się — dążeniem do szczęścia. Człowiek jest samotny wobec przyrody. Jego siła — w zespołowości, w społeczeństwie. Dlatego zbiorowość jest niezbędna jednostce. Zbiorowość jest czymś z natury rzeczy niezmiernie wyższym i trwalszym niż jednostka, niż poszczególny człowiek. Siły i rozum człowieka są fizycznie ograniczone. Społeczeństwo wolne jest od tego rodzaju ograniczeń. Siły jego są bezgraniczne, bo działa ono zawsze, jest nieśmiertelne. Dlatego interes zbiorowości jest wyższy od interesu jednostki. I rzeczą naturalną jest, że społeczeństwo żąda od jednostki podporządkowania jej interesów — wymogom ogólnym. Kosztem wyrzeczeń osobistych powstaje bezpieczeństwo wszystkich w zbiorowości, obrona każdego w społeczeństwie. **Ta bynajmniej nie nowa myśl, zapożyczona u Rousseau'a — myśl o wyższości spólnoty nad jednostką jest jedną z podstawowych idei Staszyca.** Z niej wychodząc krytykuje on antypaństwową samolubną politykę stanu panującego, na niej opiera się, gdy żąda podporządkowania interesów magnackich i szlacheckich potrzebom Polski, gdy z patosem głosi wielkość interesów całego narodu.

Idea ta zapłodniła i pedagogiczne koncepcje Staszyca. Jego poglądy pedagogiczne podsumowywały niejako półwiekowe poszukiwania polskiej myśli pedagogicznej na drogach wytkniętych przez angielskiego filozofa Locke'a, przez Rousseau'a, przez szkołę francuskich ekonomistów i filozofów, fizjokratów, — na drogach wychowania racjonalistycznego, lecz uwarunkowanego przez polską rzeczywistość i potrzeby polskiego społeczeństwa. Kontynuowały one myśli i doświadczenia Konarskiego i były teoretycznym podsumowaniem blisko dwudziestoletnich prac Komisji Edukacyjnej.

Jako typowy przedstawiciel swojego wieku uważa Staszyc, że wychowanie jest czynnikiem określającym przyszłość w społeczeństwach.

Toteż twierdzi, że wychowanie nie może być oderwane od konkretnych warunków i wymagań kraju, dla którego przygotowuje obywateli. „Edukacja do rządu musi być stosowana", a to znaczy, że musi ona uwzględniać kierunek rozwojowy, ustrój i specyficzne cechy społeczeństwa, a konkretnie mówiąc — społeczeństwa polskiego. Wobec tego, że Polska „ma tylko ludzi, lecz nie ma prawych obywateli", trzeba uczniom w szkołach polskich dawać szczegółowe i obszerne wiadomości o swoim kraju. Trzeba zaszczepiać miłość do ojczyzny, opartą na wiedzy i znajomości rzeczy praktycznych: „Dziecię, które pierwszy raz otwiera swe oczy, nic innego widzieć nie powinno nad ojczyznę".

Czołowe miejsce wyznacza Staszyc nauce o społeczeństwie, którą nazywa „nauką moralną", w tej zaś podstawą jest „historia krajowa". Znajomość historii znajduje on najbardziej niezbędną dla wychowania dzieci na takich obywateli, którzy będą zdolni rozumnie służyć ojczyźnie.

Staszyc kładzie ogromny nacisk na nauki przyrodnicze, ściśle powiązane z życiem („Fizyka doświadczalna", „Geografia ojczysta") i nauki praktyczne („O ulepszaniu ziemi", o przemyśle, rzemiosłach, nauki wdrażające w arkana gospodarstwa i administracji, gdyż takie umiejętności tworzą „pożyteczność obywatela").

W „Przestrogach", w gorącej apostrofie do nauczycieli nawołuje, aby wychowywać przede wszystkim „powinności obywatela". Stojąc na gruncie uobywatelnienia stanów niższych występuje tam Staszyc przeciwko nauczaniu stanowemu, a za tym, aby „robić z młodzieży szlacheckiej i miejskiej jeden naród". Moralności stanowej przeciwstawia on interes wyższy „narodu całego".

Podkreślenie ważności wychowania zespołowego, oraz jego społecznego zacięcia istotnie odróżnia poglądy Staszyca od poglądów Rousseau'a i w dużej mierze spowodowane jest przez jego zdrowy instynkt społeczny i polityczny. Pedagogiczne wypowiedzi Staszyca nie miały charakteru beznamiętnych wywodów teoretycznych. Za ich pośrednictwem walczył on ostro ze szlachecko - magnacką aspołeczną mentalnością, z tym systemem wychowania, który wpajał przekonanie o stanowej wyłączności, który wychowywał nieposiadających żadnych umiejętności i pożytecznych wiadomości członków klasy „wyjadaczy", której potrzebę istnienia w społeczeństwie polskim Staszyc kwestionował.

Powodując się tymi samymi względami walczył, aby szkoła wychowywała tak rzadką w Polsce dyscyplinę społeczną.

Wierny zasadom racjonalistycznego, empirycznego wychowania, kształtującego myślenie konkretne i analityczne, — żądał Staszyc usunięcia ze szkół średniowiecznej scholastyki, teologii, sprzecznych z tymi zasadami, nie negując zresztą nauki religii.

W ten sposób podsumował zasady Komisji Edukacyjnej i przeciwstawiając się średniowiecznym tradycjom — formułował podstawy szkolnictwa mieszczańskiego. Przekonany był, że jego ojczyźnie także potrzebni są rzemieślnicy, kupcy, przedsiębiorcy, nowa warstwa energicznych ludzi, która zmieniając oblicze ziemi urzeczywistniła już przewrót gospodarczy w całym szeregu krajów.

Że poglądy Staszyca w kwestiach wychowania nie zmieniły się w okresie późniejszym, że przeciwnie, sformułowane w „Uwagach", z biegiem lat nabierały precyzji, dowodzą tego późniejsze prace pedagogiczne i mowy okolicznościowe. Podkreślał tam, że „umiejętności nadają pewną dokładność i prawość rozumowi". W tych późniejszych wypowiedziach odnajdujemy znaną nam podstawową zasadę Staszyca, że wykształcenie powinno być oparte o wiedzę praktyczną i doświadczenie, gdyż inaczej jest bez wartości.

II. SPRAWY ROLNICTWA i ROLNIKÓW

Już **„Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego"** były nacechowane gorącym zainteresowaniem dla niedoli polskiego chłopa. Wielokrotnie wskazuje nam Staszyc na niesprawiedliwy podział ziemi w Polsce, która przecież „dla wszystkich ludzi równie stworzoną była". Istniejący podział ziemi jest sprzeczny według niego z „naturalnym porządkiem" rzeczy. Jest on przyczyną tej dziwnej sytuacji, iż chłop łaknie ziemi i z braku jej emigruje, a jednocześnie wielkie połacie kraju leżą odłogiem, marnują się nieuprawiane. Wskazuje Staszyc, że w sąsiednich absolutystycznych państwach monarchowie otaczają troską rolnictwo i rolnika, bronią go przed samowolą szlachecką, podczas gdy w Polsce — chłop jest bezbronną ofiarą bezprawia i gwałtu.

W „Przestrogach", gdzie punkt ciężkości przeniesiony jest na sprawy społeczne, kładzie Staszyc szczególny nacisk na kwestię rolną. Z bezlitosnej krytyki stanu rolnictwa i położenia rolnika wyłania się problem chłopa, jako podstawa istnienia i rozwoju społeczeństwa polskiego, jako sprawa tragiczna i groźna, wymagająca zmian szybkich i skutecznych.

Staszyc, żywiołowo, dzięki temu sposobowi myślenia, który mu narzuciła racjonalistyczna filozofia wieku — często nie zdając sobie z tego sprawy, rozumuje jak materialista. Przyswoił on sobie idee fizjokratów, że „rolnictwo jest źródłem wszystkich bogactw", toteż źródło i fundament życia zespołowego widzi Staszyc w produkcji rolnej. Żywotność społeczeństwa, jego poziom cywilizacyjny, jego zasobność — Staszyc uzależnia od tego, jak ono żyje i pracuje, kogo ma za zasadniczych producentów w kraju. Staszyc — fizjokrata tego zasadniczego producenta, twórcę bogactw społecznych, widział w chłopie. Odpowiadało to obiektywnej sytuacji Polski, kraju rolniczego. Ręka ludzka w Polsce przede wszystkim trudziła się nad rolą. Kultura materialna wsi, jej dobrobyt, jej narzędzia pracy i bodźce, które tę pracę powodowały — w dużej mierze określały ogólny poziom kultury materialnej kraju. Teza francuskich fizjokratów, że „wszystkie bogactwa pochodzą z ziemi" była już niesłuszną w stosunku do przemysłowej Anglii i do Francji z końca XVIII wieku. Zastosowana przez Staszyca dla analizy czynników określających gospodarkę polską — przyczyniła się do trafnego określenia tego ogniwa, które było najważniejsze dla uzdrowienia naszego społeczeństwa. W warunkach polskich głęboką, życiową prawdą było także twierdzenie Staszyca, że „rolnik jest karmicielem towarzystwa, każdy inny wyjadaczem" — tym bardziej, że tutaj Staszyc poprawiając fizjokratów, dodaje, że rzemieślnik i kupiec też należą do niezbędnych produkcyjnych warstw.

A więc fizjokratyczne stanowisko w sprawach produkcji społecznej, przyczyniło się do trafnych obserwacji i słusznych wniosków Staszyca.

Wykazuje on, że ziemia — „źródło bogactw" jest w zaniedbaniu, i że zaniedbanie to stale wzrasta, a rolnik — „karmiciel" i producent tych bogactw, wydobywający je z ziemi, jest najbardziej upośledzonym stworzeniem, jest poddanym.

Nie dziw to, że kraj, w którym „rolnik — niewolnikiem", a ziemia bez opieki — jest dziki, nieuprawny, miasta jego w upadku, a drogi marne. Inne zgoła są kraje „z wolnością rolnika" — pieczołowicie uprawiane, zasobne, o ludnych miastach.

Jeśli „wagą szczęśliwości publicznej, jest szczęśliwość rolnika" — to Polska daleka jest od szczęśliwości, gdyż stan jej chłopa „przeczy naturze ludzkiej". Rozdział „Rolnik pracowity" poświęcony jest uzasadnieniu tej myśli. Znajdujemy tam wstrząsający obraz nędzy i poniżenia, przytłaczającej większości narodu. Jak i inni fizjokraci za podstawowy warunek rozwoju gospodarki rolnej Staszyc uważa „wydatki gruntowe" (u francuskich fizjokratów — avans primitives) czyli kapitalne inwestycje, stale czynione w gospodarstwie rolnym. Dlaczego w Polsce nie ma tych kapitalnych inwestycji i gospodarka rolna upada? Przyczyn tego Staszyc doszukuje się w istniejącym, społecznym układzie wsi i podziale własności rolnej.

Po pierwsze: ziemia w Polsce w dużej części „nie ma właściciela", poddany chłop nie ma wolności osobistej i nie posiada na własność ziemi, którą uprawia.

Po drugie: w Polsce przeważa własność wielka, szkodliwa według Staszyca dla rozwoju rolnictwa.

Po trzecie: dochody z gospodarki rolnej są wydatkowane nieprodukcyjnie. Za dużo jest w Polsce „wyjadaczy" spośród szlachty i magnaterii, którzy marnotrawią plony polskiej ziemi.

Po czwarte, z racji powszechnie panującej wzajemnej zależności zjawisk gospodarczych — rolnictwo nie może rozwijać się tam, gdzie miasta są biedne, a handel słaby, gdyż wtedy trudności wyprzedaży produktów rolnych obniżają dochód z nich.

W rozdziale **„Własność"** Staszyc uzasadnia w sposób obrazowy i namiętny myśl, że własność ziemi jest podstawowym bodźcem, który powoduje ofiarną walkę człowieka z przyrodą, który zmusza człowieka do stałego doskonalenia się w pracy. Własność zabezpiecza owoce pracy rolnika, dla jego potomstwa. Jego wysiłek otrzymuje cel i perspektywę, nieograniczoną krótkim życiem. Tylko własność gwarantuje rolnikowi, że dzieci posiądą plony wysiłków ojca i dziada.

Staszyc, w ślad za wielu pisarzami, a przede wszystkim za Buffonem i Rousseau'em uważa, że do sprawiedliwie posiadanej własności, uprawnia tylko praca własnych rąk. A więc **teoretycznie jest gorącym apostołem drobnej, chłopskiej własności rolnej. Różni się tym od francuskich fizjokratów, którzy byli raczej za wielką własnością, za własnością ziemską, nastawioną na tory produkcji kapitalistycznej.** W odróżnieniu od nich Staszyc wykazuje, jak przeciwległe są interesy szlachty i chłopów i udawadnia, że posiadacz ziemski jest wrogiem chłopa, oraz jest figurą zbędną, niepotrzebną w procesie produkcji rolnej.

Chłop polski nie ma ziemi na własność. Nie ma on też i tej „ułudy własności", którą stwarzają reformy królewskie w Austrii i Prusach, gwarantujące chłopom długoterminowe i dziedziczne władanie ziemią oraz zabraniające panu spędzać chłopa z ziemi. Polski zaś chłop jest całkowicie zdany na łaskę swego pana. Nie ma silnej władzy państwowej, która stawałaby między nim a dziedzicem. Dlatego chłop polski pod „kilkudziesięcioma tysiącami" władców cierpi bardziej niż chłop austriacki i pruski „pod jednym despotą". Chłop polski nie jest pewien czy jutro ziemia jeszcze będzie jego, gdyż panowie zaokrąglają swe majątki kosztem działek chłopskich, rugując chłopów całkowicie, lub przenosząc ich na gorsze grunta. Pan jest właścicielem ruchomego mienia i życia poddanego chłopa. Chłop nie może nawet z własnej woli zawierać związków małżeńskich, co wobec złej sytuacji populacyjnej kraju wywołuje specjalny niepokój Staszyca. Niepewność istnienia, niepewność władania ziemią, oto przyczyna niedbałej uprawy gruntów chłopskich i niskich urodzajów, gdyż chłop nie dba o rok następny, nie robi „wydatków gruntowych".

Lecz uprawa gruntów pańskich, folwarcznych — jest nielepsza. Zasadniczą przyczyną tego jest pańszczyzna. Człowiek nie posiadający wolności — nie może pracować dobrze. Na ogół przymusowa praca na kogoś innego jest „przeciwna naturze ludzkiej". Staszyc widział niewydajność, nieintensywność, bezmyślność pracy pańszczyźnianej. Wyczuwał, że hamuje ona rozwój techniki produkcji i wydajności pracy.

Lecz chłopa upadającego pod ciężarem feudalnych powinności Sejm Czteroletni obarczył dodatkowo ponad siły. Uchwalając podatki na stutysięczną armię faktycznie przełożył je na karb chłopów. Uprzedza Staszyc, że krok ten podcinając ostatecznie funkcjonowanie gospodarki chłopskiej, może pogrążyć ostatecznie rolnictwo polskie i Polskę całą.

Kulturalna gospodarka rolna niemożliwa jest w wielkich posiadłościach magnackich. Właściciel, posiadający nadmiar ziemi, nie dba o całkowite jej wyzyskanie. Zresztą najczęściej nad wielką własnością nie trudzi się sam właściciel. Od wielkiej własności nieodłączna jest plaga niszczycielskiej dzierżawy. Dzierżawca nie jest zainteresowany w długofalowych ulepszeniach i w pogoni za dochodem wyniszcza ziemie i gospodarstwa.

Obszerne ziemie starościńskie, stołowe, kościelne — są według Staszyca marnotrawieniem dobra na wielką skalę. Wydane na łup tymczasowych posiadaczy i dzierżawców — niszczeją. Jak wielu przedstawicieli polskiego i europejskiego Oświecenia — był Staszyc antyklerykałem. Antyklerykał w sukience duchownej nie był wtedy rzadkością. Staszyc piętnuje niszczycielską gospodarkę rolną na ziemiach klasztornych, a zakon traktuje na równi ze szlachtą, jako „wyjadaczy". Twierdzi, iż prócz plebana i biskupa żaden inny duchowny niepotrzebny. Zgodnie z uformowanym już na zachodzie nowym, burżuazyjnym stosunkiem do kościoła, który zaprzeczał kościołowi prawa autonomii i dążył do podporządkowania go państwu, uważa Staszyc, że ksiądz winien być „urzędnikiem krajowym" i jako takowy powinien pensje od państwa otrzymywać.

Z rozważań o rolnictwie „Uwagi" Staszyca o własności są najcenniejsze i najciekawsze. Daje on obraz zgubnego wpływu wielkiej własności feudalnej na rozwój gospodarstwa rolnego. Przepowiada wielką przyszłość niezależnej drobnej własności rolnej chłopskiej, nie istniejącej wówczas w Polsce. W starą rzymską formułę własności wlewa nową wówczas w Polsce treść — dając definicję drobnej własności, w której producent jest jednocześnie właścicielem ziemi. Ten pogląd na wielką i drobną własność spotykamy u Staszyca i wówczas, gdy analizuje on stosunki rolne w innych krajach („Dziennik podróży").

Po konsekwentnej i bezlitosnej krytyce stanu rzeczy we wsi polskiej Staszyc przystępuje do konkretnych rad. Jakie reformy proponował Staszyc Sejmowi Czteroletniemu w dziedzinie rolnictwa?

Skonfrontowanie bezkompromisowych teoretycznych twierdzeń Staszyca w sprawie chłopskiej z ówczesną rzeczywistością polską, dało w wyniku odstąpienie od zasadniczych postulatów teoretycznych. Projekty swe Staszyc odparł na kompromisie z feudalnym ustrojem wsi polskiej i interesami jej władców. Sejm, do którego Staszyc zwracał się, o reformy, co zahamowałyby upadek kraju, był wyłącznie szlachecki. Czyż mógł zgodnie z tym, co mówił w deklaracyjno - teoretycznych ustępach „Przestróg" apelować do tego sejmu, aby odebrawszy ziemię szlachcie uwłaszczył chłopów i nadał im wolność? Całkowite zlikwidowanie feudalnego wyzysku, który Staszyc tak ostro piętnował pociągało za sobą likwidację szlachty, jako klasy panującej. W historii nie ma przykładów dobrowolnego samobójstwa klas społecznych. Szlachta zaś niechętna była nawet częściowym zmianom w gospodarce feudalnej wsi, gdyż w masie swej tkwiła jeszcze całkowicie w stosunkach poddańczych, a więc nie była predystynowana do powszechnego zastosowania tych lub innych chociażby częściowych kapitalistycznych form gospodarowania.

Praktyczne propozycje Staszyca sprowadzały się do projektów cząstkowych i połowicznych zmian w formach wyzysku chłopów przy zachowaniu starych stosunków własności i chłopskiej zależności. Były one nieśmiałym naśladownictwem reform austriacko-pruskich, a częściowo wzorowały się na polskich reformach magnackich.

Staszyc proponuje częściową zamianę pańszczyzny na czynsz. Do wprowadzenia czynszu chce zachęcić szlachtę specjalnymi nagrodami nadawanymi za oczynszowanie chłopów, nie odważając się żądać całkowitego zniesienia pańszczyzny — chce nadać jej nieco intensywniejszy charakter, w tym celu proponuje wprowadzić zamiast dziennej pańszczyzny, wydziałową (obliczoną nie według dniówek a według wykonanego zadania). Pańszczyzna wydziałowa w niczym nie zwalniając chłopa od plagi pańszczyzny — zmuszała go do pracy intensywniejszej i nie dopuszczała do obniżenia wydajności pracy poniżej pewnej granicy. W praktyce stosowali ją magnaci reformatorzy. W dziedzinie prawnej chciał Staszyc utrącić absolutną władzę feudalnego zwierzchnika nad chłopem, proponował więc, aby powołać do życia specjalne sądy dla chłopów. Wart podkreślenia jest szczegół, że do tych sądów chciał wprowadzić Staszyc samych chłopów lub ich przedstawicieli. Był to postęp w porównaniu z „Uwagami". Propozycja ta dodatnio wyróżnia się na tle ówczesnych pro-

*) Ze wstępu do książki „Wybór pism" Staszyca — która wkrótce wyjdzie nakładem „Książki".

jektów reformatorskich. Proponuje także Staszyc, aby zagwarantować chłopu dożywotne władanie ziemią i aby pan nie miał prawa mu jej bez sądu odebrać. W ten sposób, wzorując się na istniejących już w krajach sąsiednich i w niektórych majątkach magnackich reformach — chce Staszyc usunąć zasadniczą plagę gospodarstwa chłopskiego — plagę niepewności posiadania. Wolność osobistą, sprawę wolnego „wychodzenia" ze wsi, przewiduje Staszyc tylko dla dzieci chłopskich. Gospodarz na ziemi osiadły nadal nie byłby swobodny.

Te częściowe i kompromisowe propozycje miały na względzie gospodarczy interes postępowej szlachty, a równocześnie miały w interesach chłopów ograniczyć władzę pana na wsi i wprowadzić kontrolę państwa jako czynnika regulującego stosunki między chłopem a panem. Przy całym swym umiarkowaniu były jednak radykalne i skrajne w oczach ogółu szlachty sejmowej. Nawet Konstytucja 3 Maja nie odważyła się zrealizować tych skromnych propozycji. Deklarując ogólnikowo zasadę umów między chłopem a panem i opiekę państwa nad chłopem — w rzeczy samej nic nie zrobiła dla ukrócenie samowładztwa szlacheckiego we wsi, jakim byłoby bezsprzecznie wprowadzenie chociażby proponowanych przez Staszyca sądów rolniczych, oraz projektowane przez niego ustalanie rozmiarów pańszczyzny przez sejmiki gospodarskie każdego województwa.

Jedną z dróg wzbogacenia ojczyzny widział Staszyc w zwiększeniu liczby właścicieli na jałowiejących gruntach starościńskich, stołowych i klasztornych.

W **„Uwagach"** proponował on stworzyć na tych ziemiach drobne dziedziczne posiadanie chłopskie, nadawane chłopu za służbę wojskową i przechodzące na jego własność po 50-letniej służbie, co by Rzeczpospolitej około 100 tysięcy piechoty wychowało. Taka wojskowa pańszczyzna, praktycznie dożywotnia, chociaż mogłaby częściowo rozwiązać kwestię armii, lecz byłaby nową feudalną kabałą dla chłopa. Żołnierz taki nie byłby owym wolontariuszem — wolnym właścicielem, o którym marzy dla Polski w swych rozważaniach ogólnych Staszyc, jako o najlepszym, bo zainteresowanym obrońcy ojczyzny.

W **„Przestrogach"** proponuje Staszyc podzielić dobra starościńskie i drobne włości rozdać „w wieczystą dzierżawę"., Dla posiadacza dzierżawa ta miałaby walory własności, a państwu przynosiłaby stały dochód (jak i fizjokraci Staszyc nie ma zaufania do pieniędzy jako ekwiwalentu wartości i proponuje obliczanie wpłat dzierżawnych w korcach zboża).

Wbrew przekonaniu szeregu autorów, że miał tu Staszyc na myśli drobne posiadanie chłopskie, musimy stwierdzić jednak, że na dzierżawców typował on przede wszystkim szlachtę, a w przyszłości bogatych mieszczan. Potwierdza to, dodatkowa propozycja Staszyca, aby dzierżawców nie wykonywujących kontraktów pozbawiano prawa kandydowania do Sejmu oraz zajmowania stanowisk. Prawa te były wyłącznym przywilejem szlachty; według programu Staszyca mogły one stać się i przywilejem mieszczaństwa. Poza tym alternatywa, że dzierżawca może objąć całe starostwo lub jedną z jego części nie mogła mieć miejsca w zastosowaniu do dzierżawcy — chłopa.

Dopiero w 1816 roku Staszyc dodał w tym miejscu „Przestróg" słowa: „Nadto otworzy się włościanom droga do własności". Było to w okresie gdy wprowadzenie w życie kodeksu Napoleona spowodowało masowe rugi chłopstwa Prawem faktu dokonanego zaprzeczono chłopom wszelkich praw do ziemi przez nich uprawianej.

Reformy Hrubieszowskie, które Staszyc urzeczywistnił w latach 1816—1822 rzucają ciekawe światło na stałość jego poglądów co do własności chłopskiej. Reformy te dowodzą, że, gdy Staszyc mógł iść wyłącznie za głosem własnych przekonań i gdy nie liczył się z „realizmem politycznym" — bronił on konsekwentnie bezwzględnych praw chłopa do ziemi, że był za własnością chłopską całkowicie wolną od feudalnych ‚monopolium". Reformy Hrubieszowskie dowodzą, że teza, iż ziemia przynależna jest chłopom z racji „prawa natury", była jednym z jego najbardziej stałych przekonań.

Staszyc w swych rozległych Hrubieszowskich dobrach całkowicie uwolnił chłopów od wszelkich świadczeń oraz wyzbywając się prawie całego majątku oddał te włości na własność chłopom pod warunkiem, że zjednoczą się w Towarzystwo Rolnicze, które stawało się zwierzchnim właścicielem ziemi. Chłopi otrzymywali ziemię od Towarzystwa w dziedziczne posiadanie — dzierżawę. Rozległe prawa tego posiadania zbliżone były do praw własności tak jak je pojmował Staszyc, jeszcze w „Przestrogach". Miało to być takie posiadanie, które według słów Staszyca otwierało przed chłopem „bogactwa ziemi".

Dążąc do tego, aby stworzyć ze swych chłopów wolnych posiadaczy typu kapitalistycznego, nadawał Staszyc Towarzystwu jednocześnie cechy spółdzielni i socjalistycznej gminy. Towarzystwo było obowiązane pomagać materialnie swym członkom w razie pożaru, nieurodzaju itd. wynagradzając im straty. Towarzystwo miało posiadać własny bank i własny system kredytowania członków, własne szkoły, szpitale, instytucje charytatywne utrzymywane na koszt Towarzystwa. Widzimy tez w „Ustawie Hrubieszowskiej" próbę realizacji pewnych utopijno - socjalistycznych koncepcji. Staszyc łudził się, że Statut zapewni względną równość posiadania członkom Towarzystwa*) i chciał uniknąć przyszłej wewnętrznej walki klasowej, bogacenia się jednych kosztem drugich. Ustawa zabraniała członkom Towarzystwa uprawiania szynkarstwa, lichwiarstwa, a więc takich zajęć, które według dawnych przekonań Staszyca pomniejszały „wydatki gruntowe". Zgodnie z fizjokratycznym uprzedzeniem do pieniędzy, jako ekwiwalentu wartości wszystkie opłaty pieniężne co pewiem czas miały być przeliczane według ceny zboża itd. W ten sposób chciał Staszyc w morzu gospodarki feudalnej o rosnących elementach kapitalizmu, w morzu wyzysku chłopskiego o najróżniejszych formach, stworzyć oazę niezależnej i zasobnej gospodarki chłopskiej, samowystarczalnej i wolnej od wyzysku. W tej mierze, w jakiej Staszyc chciał odizolować swoje Towarzystwo od ogólnej sytuacji gospodarczej, od walki klasowej nurtującej społeczeństwo — rzeczywistość musiała wypaczyć jego plany. Lecz dalsze losy Towarzystwa nie należą do naszego tematu. Szlachetny krok, jakim było stworzenie Towarzystwa Hrubieszowskiego ukazuje nam jasno oblicze Staszyca — konsekwentnego przez całe życie szermierza własności chłopskiej. Gdy w odwiecznej walce o ziemię między właścicielem ziemskim a chłopem, w początku 19 w. zwyciężał obszarnik, Staszyc czynem swym zdecydowanie stanął po stronie rolnika „karmiciela towarzystwa".

Celina Bobińska

*) Kontrakt z roku 1816 ograniczał rozmiary gospodarstw do 80 morgów, Ustawa z roku 1822 — do stu morgów.

ARTUR SANDAUER

PROBLEMY FRANCUSKIE

TRAF ZRZĄDZIŁ, że pierwszym — po moim przyjeździe do Francji — pismem, które wpadło mi w ręce, nie był żaden z poważniejszych miesięczników paryskich, nie „Europe" bynajmniej, ani „Temps modernes", ani wychodząca jeszcze wówczas „Fontaine", lecz jeden z owych popularnych tygodników ilustrowanych, które przegląda się od niechcenia, poddając twarz równoczesnej pieszczocie fryzjerskiego noża. Na pierwszej stronie ujrzałem reprodukcję rzeźb polinezyjskich, na 5-ej wywiad z Sartre'em oraz krótkie streszczenie filozofii egzystencjalnej, na którejś tam —nowelę spirytystyczną; całość tak wyjątkowo — by użyć tego oxymoron — typowa, że od natychmiastowego zredagowania o niej złośliwej notatki dla naszej prasy powstrzymała mnie jedynie właściwa mi niechęć do niepełnych obserwacyj i pośpiesznych uogólnień czyli do reportażu. „Nie bądźmy powierzchowni! — rzekłem sobie w duchu. — Przyjrzyjmy się sprawie dokładniej!"

Przyjrzałem się sprawie dokładniej. Lecz długie miesiące, spędzone później we Francji i szereg dalszych doświadczeń uzupełniły tylko luki pierwotnego wrażenia, nie naruszając w niczym zasadniczej jego konstrukcji. Tematy, które, podane w formie tak elementarnej, powitały mnie, świeżo przybyłego, w fryzjerni paryskiej, towarzyszyły mi przez resztę mego pobytu, powtórzone w nieskończonych wariacjach i na coraz to innych stopniach hierarchii intelektualnej: 1) egzotyka i prymityw, 2) egzystencjalizm, 3) rozmaite odmiany mistycyzmu.

EGZOTYKA I PRYMITYW

Przybysz z kraju, którego przeszłość kulturalna jest historią miłości — nie zawsze odwzajemnionej — dla Francji, Francji Kartezjusza, Encyklopedystów i Komuny, nie może—wylądowawszy w Paryżu — oprzeć się pewnemu rozczarowaniu; wydaje mu się chwilami, jakoby obiekt jego uczuć już to wogóle przestał istnieć, już to zmienił swe położenie na owej mapie intelektualnej, którą sama o tym nie wiedząc, kreśli na swój użytek każda epoka. Narastanie w pewnych kołach inteligencji francuskiej prądów pesymistycznych, mistycznych i irracjonalnych, które w dodatku — w myśl znanych skądinąd metod — potrafią podszyć się pod hasła postępowe, przywdziać pseudo - rewolucyjną maskę, owa dionizyjskość Francji współczesnej nie może nie stanowić przykrej niespodzianki dla wielbiciela Francji apollińskiej.

Zapewne, trudno nie dostrzec pozytywnej wymowy tych negatywnych zjawisk; trudno nie stwierdzić, iż tragizm, beznadzieja, programowa absurdalność współczesnej francuskiej myśli mieszczańskiej, szkodliwe jako fenomen, są jednak ciekawe jako dokument, świadectwo znużenia i klęski, rodzaj „nec plus ultra", znak, że w pewnym kierunku dalej iść nie można. Grecja nowożytności, kraj o najwyżej rozwiniętej kulturze doznawania, o nieubłaganym rytuale obiadów i kolacyj, rozsądna z nadmiaru sceptycyzmu i konserwatywna z nadmiaru nihilizmu Francja mieszczańska, od półtorasta lat żyjąca przemieszczaniem naniesionych przez Wielką Rewolucję elementów, od końca pierwszej wojny światowej począwszy zdaje się odczuwać, iż zakres możliwych w tej dziedzinie kombinacyj się skończył i że należy rozpocząć od nowa. — Wyrazem buntu przeciw tym zużytym już treściom był w okresie międzywojennym surrealizm: rozkapryszony synek rentiera, kurczący twarz w coraz to inny niedorzeczny lub szyderczy grymas, wyskakujący na meble lub huśtający się na wiszącej lampie, korzystał jednak równocześnie z papinych oszczędności i zasiadał mniej lub bardziej punktualnie do papinej kolacji, pewien, iż w ostatecznym rachunku papa przejdzie do porządku nad jego dziwactwami. Surrealizm był kierunkiem antymieszczańskim w obrębie mieszczaństwa, uprawianą na terenie literatury antyliteraturą, swoistym wallenrodyzmem artystycznym, buntem od wewnątrz, ostatnią — po Rimbaudzie i Lautréamonce — próba przetasowania kart dawno już zużytych, usiłowaniem odświeżenia przez dziwność i niedorzeczność odziedziczonych po bojowym pokoleniu mieszczańskim treści. W swym studium „Kwiaty z Tarbes" (nazwanym tak od figurującego u wejścia do tarbeńskiego parku napisu: „Zabrania się wnosić kwiaty do ogrodu") Jean Paulhan, omówiwszy ów narzucony literaturze francuskiej przez surrealistów „strach przed literackością" podejmuje na nowo apologię świadomej i konsekwentnie stosowanej retoryki, co w ustach tego ideologa prawicy francuskiej brzmi zarazem jako apologia tradycyjnej kultury. Lecz to są wyjątki. Otwartych apologetów tradycji znajdziemy w tej chwili we Francji niewielu: pisarz cudzoziemski, który przyjeżdża do Francji, czuje, że oczekuje ona od niego nie podporządkowania, lecz inności: Europa, łaknąca porwania. Znajomość Diderota, France'a czy Giraudoux jest — w pewnych kołach inteligencji francuskiej — zdecydowaną kompromitacją. Biada temu, kto chciałby przynosić sowy do Aten! Nie bez kozery większość produkcji wydawniczej stanowią przekłady, większość zaś wystaw — już to autentyki murzyńskie, polinezyjskie, prekolumbijskie, już to ich naśladownictwa. Jeśli niegdyś Verlaine o sobie i o swojej epoce pisał: „Je suis l'empire à la fin de la décadence Qui regarde marcher les grands barbares blancs" (jestem cesarstwem u schyłku, nasłuchującym kroku białych barbarzyńców), to obecnie — jeśli wierzyć manifestowi surrealistów - rewolucjonistów— przekroczyliśmy już okres schyłkowy, by wejść w neo-archaiczny. Wątpić jednak należy, czy ów egzotyczny neo-prymityw (potrzebny, być może, we Francji, która nie posiadając własnego folkloru, szuka odświeżenia w sztuce narodów pierwotnych) miałby sens i zastosowanie w kulturze o wiele mniej, niż tamta, wyrafinowanej i która nie wyczerpała jeszcze wszystkich możliwości wewnętrznego rozwoju. Polska nie może i nie powinna kroczyć udeptanym przez Francję szlakiem; może naśladować jej zdobywczość, lecz nie jej zdobycze; jej oryginalność, lecz nie rodzaj tej oryginalności; i, słowem, usiłować jej dorównać — lecz tylko we własnej dziedzinie.

EGZYSTENCJALIŚCI CZYLI ZDECYDOWANI NA WAHANIE

Napróżno byśmy szukali słowa, które by ściślej określiło obecną sytuację literatury francuskiej, niż owo, tylekroć nadużyte, już nieco wyświechtane „zaangażowanie". „Zdrada klerków", której tak się obawiał, przeciw której tak protestował 20 lat temu znakomity Julien Benda, dokonała się najpełniej w naszych oczach. Nie ma dziś we Francji klerków niezaangażowanych; nie ma zatem klerków, którzy by nie zdradzili; tęsknie skierowane na zachód spojrzenia wielbicieli „sztuki czystej" nie znajdą tam — obawiać się należy — upragnionego obiektu; literatura francuska w chwili obecnej służy — służy być może, bardziej różnorodnym, niż nasza, interesom — lecz czyni to równie niedwuznacznie i świadomie.

Mimo dzielących nas różnic, mimo, iż francuska myśl postępowa znajduje się teraz pod równoczesnym obstrzałem wielu baterii intelektualnych nie sposób nie stwierdzić analogii między sytuacją Polski a Francji, między dokonaną u nas i u nich w epoce powojennej ewolucją.

Nie ma człowieka ogólnego: jest tylko człowiek historycznie określony. Nie ma myśli bezinteresownej: wszelka myśl odpowiada na postawione nam przez epokę pytania. Cali w dziejach, nie mamy sposobu, aby się ponad nie wychylić. „Ponieważ zatem wszelkie drogi ucieczki dla pisarza są zamknięte, pragniemy, aby tym mocniej stanął on w swojej epoce która jest jego jedyną szansą: ona jest stworzona dla niego i on dla niej. Żałujemy obojętności Balzaca wobec wypadków 1848 roku, niezrozumienia i lęku Flauberta wobec Komuny; żałujemy ze względu na nich; stało się tam coś, co przepuścili bezpowrotnie. Nie chcemy niczego przepuścić ze swojej epoki; być może, bywały inne piękniejsze, lecz ta jest nasza; możemy przeżyć tylko jedno życie — wśród tej wojny, tej, być może, rewolucji". Wypowiedziane przez Jean-Paul Sartre'a w „Temps modernes" (szkic „Co to jest literatura?") słowa te mogłyby zapewne pojawić się i w komunistycznej „Europe"; z entuzjazmem cytuje je Thierry Maulnier w „Arche". Oto początkowy punkt porozumiewawczy, wstępny i dla wszystkich narówni obowiązujący napis na bramie sztuk, po której przekroczeniu jednak drogi zaczynają się rozgałęziać. Gdy bowiem na ową historycznie określoną sytuację egzystencjalista reaguje absurdalnym, odrzucającym swe determinanty czynem, który — popełniony bez wiary w swą celowość — jest jedynie — jak niegdyś u gide'owskiego Lafcadia — rodzajem przeprowadzonej na użytek wewnętrzny psychicznej demonstracji, to — nie pretendując do owej absolutnej wolności—marksista przyjmuje uwarunkowania swego czynu i przezwycięża konieczność przez jej uświadomienie. Dla Sartre'a bowiem istotniejszy jest sam problem zaangażowania, niż jego rodzaj; podobny jest on do człowieka, którego stać jedynie na postanowienie, by postanowić, lecz nie na decyzję merytoryczną; partia R. D. R. (Rewolucjonistów-Demokratów), której Sartre — obok Dawida Rousset — jest jednym z założycieli i ideologów, umieszczona gdzieś na lewym pograniczu Trzeciej Siły, to typowy przykład niezaangażowanego zaangażowania, zdecydowania na wahanie...

PRĄDY MISTYCZNE

Metafizyka wreszcie, na którą powołuje się egzystencjalizująca myśl francuska, wywodząca się bezpośrednio z romantycznej filozofii niemieckiej, różni się jednak od tamtej brakiem jakichkolwiek optymistycznych perspektyw. Jest to metafizyka negacji i nieobecności, która — niebywałym dotąd przerzutem myślowym — potrafiła połączyć religię z ateizmem, uznać potrzebę Boga, odrzucając Boga samego i umieścić w centrum wszechświata już nie x nawet, lecz ironiczną, wykrętną negację. Papież tej **anty-religii**, Franciszek Kafka przenosi nas w swych powieściach w duszny świat idących w nieskończoność biurowych pokoi, z których każdy, opisany z równie drobiazgową dokładnością, przejmuje nas uczuciem niedosytu i zaprasza do następnych, równie zakurzonych i beznadziejnych. Można by rzec, że metafizyka ta nie spełnia nawet owej funkcji **opiatycznej**, do jakiej z natury rzeczy — zdawałoby się — jest powołana...

Należało by wreszcie poświęcić słów parę pewnym pseudonimowym formom religii, opartym na znanej i u nas zasadzie: „Wierzę nie w Boga, ale w Siłę Wyższą". Tak naprzykład zdarzało mi się nieraz — zwłaszcza na kongresach psychoanalityków — napotykać owe formy krypto - religijne, które — jakgdyby zawstydzone same sobą — pseudonimowały Boga już to jako „pan-psychizm", już to jako „psychizm kosmiczny", już to jeszcze inaczej — wszystko to pod pobłażliwym wejrzeniem dość licznie obecnych na tych kongresach księży...

* * *

Tej sztucznie wydętej problematyce, odgrzewaniu pomysłów filozofów niemieckich, próbom zaciemnienia obiektywnych sprzeczności klasowych, całej tej piance na powierzchni dziejowego nurtu, postępowa myśl francuska przeciwstawia wielką tradycję francuską, ideały intelektualizmu i humanizmu, które — wygnane ze społeczeństwa mieszczańskiego — znalazły w tej chwili przytułek w piersiach francuskiego ludu.

Artur Sandauer

STEFAN FLUKOWSKI

Z TEATROW KRAKOWSKICH

TAK SIĘ ZŁOŻYŁO, że powróciłem po parotygodniowej nieobecności do Krakowa kiedy poprzednia kronika teatralna ukazała się już w „Kuźnicy". Jeden ze spotkanych znajomych, patrząc na mnie jak na męża „przyszłości" stwierdził, że teraz napewno zostanę kierownikiem literackim u Dąbrowskiego. A następny, w godzinę później, że Dąbrowski napewno wystawi mi sztukę. Wtedy się zorientowałem. „Ależ, mąszerciu, wykrzyknąłem, ja nie jestem handlowcem! Mnie tylko chodziło o zreferowanie, wedle mego mniemania wyważone sprawiedliwie, możliwie najbliższe słuszności. Bo, jak mniemam, napisało się tyle w ciągu tych trzech lat sprawozdań interesownych, powierzchownych, bez znajomości rzeczy lub złośliwie dowcipnych (miejscowy dowcip nie jest w okresie rozkwitu) że trzeba to jakoś i tak dalej..." Mój rozmówca był tym nieco wytrącony z równowagi. Zdążył szepnąć jeszcze „A więc poco było się...?" i rozeszliśmy się bez pośpiechu, ponieważ w Krakowie wszędzie niedaleko.

Jak to już pisałem poprzednio, Osterwa ze swej dyrekcjii podzielił starannie repertuar trzech scen krakowskich dając tym samym po wojnie pierwszą inicjatywę w kierunku stworzenia: a) ze sceny Teatru im. Słowackiego sceny narodowej służącej tylko wielkiemu repertuarowi klasycznemu polskiemu i nie polskiemu oraz b) z dwóch scen Teatru Starego, scen służących nowoczesnemu repertuarowi polskiemu, wspieranemu poszczególnymi sztukami zagranicznych pisarzy. I to zostało w ciągu roku zachowane. Nowa dyrekcja Dąbrowskiego poszła też po tej linii, która wydaje mi się po dwóch latach próby i na przyszłość bardzo pożyteczna. Żeby tylko w teatrze Słowackiego nie grać takich sztuk jak „Obrona Ksantypy" Morstina (dlaczego nie Szaniawski?). Nie mówiąc, że nowoczesny repertuar polski ma sztuki mocniejsze na ten sam temat jak np. naprawdę doskonałą „Legendę o mądrym mężu" Artura Marii Swinarskiego. Notabene, niewystawienie tej sztuki, mimo zapowiedzi przez dwa sezony jest swego rodzaju niewytłumaczalną zagadką graniczącą ze skandalem. Dziwne, jak teatry lubią unikać lepszych sztuk współczesnego repertuaru polskiego. Prawdopodobnie, dlatego że jest ich tak niewiele. Ale są, jak chociażby sztuka Swinarskiego, gdzie wszystkie akty jeden w drugi, akty jak dęby, a trzeci, o dziwo, najmocniejszy, chociaż pierwszy też jak dab.

Za to utrzymanie Teatru Słowackiego w charakterze sceny narodowej należy się Br. Dąbrowskiemu pochwała. Kraków stać dzisiaj, jeśli chodzi o zainteresowania (tysiące studentów, uczniów, i nowej widowni rekrutującej się ze świata pracy) oraz o frekwencję aby posiadał swoją własną scenę narodową w sensie o jakim myślał Jaracz czy Schiller, chociażby na skromniejszą, niewarszawską skalę. Na niej Szekspir, Molier, starożytni tragicy i komediopisarze, na niej wielki repertuar dramatyczny polski. Ale to mało Scena narodowa wymaga wybitnych aktorów i reżyserów oraz czynnego stosunku w walce o własny, reprezentacyjny styl opracowywanych sztuk. Tu piętrzą się niezwykle duże trudności. Przecież chodzi nie mniej ni więcej ale o twórczość, o wybudowanie na podstawie doświadczeń z dwustu lat istnienia dramatycznych teatrów w Polsce, czegoś trwałego i pełnego, coby wyrażało najlepiej cechy charakterystyczne środowiska polskiego w pryzmacie rzeczywistości teatralnej. Oczywiście, jest to rzecz najtrudniejsza, którą sobie uświadamiamy ale której poradzić naogół nie potrafimy. Ubiegły sezon krakowskich teatrów, a Teatru im. Słowackiego w szczególności, wyraźnie wskazuje, że jego kierownik nie przejawił dotąd danych na osiągnięcie takiej zdobyczy dla polskiej kultury teatralnej. Więc, że przyszłość ewentualnej sceny narodowej w Krakowie będzie raczej ograniczała się do repertuaru a nie do wysiłku stworzenia własnego i odrębnego stylu gry aktorskiej, reżyserii oraz organizowania scenograficznego całości widowiska.

* * *

Sezon 1947/48 można podzielić z grubsza na dwie części: wznowienia przeniesione z Katowic z poprzedniego sezonu i nowe pozycje repertuarowe. Do pierwszych należały przede wszystkim: „Mąż i żona" Fredry z międzyaktami Adama Polewki (inscenizacja i pomysł doskonałego przedwojennego „Cricota"), „Temperamenty" Cwojdzińskiego i szekspirowski „Wieczór trzech króli".

Nie wiem dlaczego, ale poprzednie przedstawienie w Katowicach podobało mi się lepiej. Zaraz... nawet wiem dlaczego. Było lepiej zagrane, co wynikało z lepszego i staranniejszego przygotowania. Mimo to miało w Krakowie wielkie powodzenie, bo jest muzyczno - choreograficznym widowiskiem pełnym humoru, aczkolwiek nieco przyciężko zrobionym i rewiowo zakończonym. Ale można i tak, choć w Rosji, skąd ta inscenizacja pochodzi, była to prawdziwa feeria ruchu, barwy i dźwięku. Rzecz bowiem polega na reżyserskim opracowaniu szczegółów precyzyjnym a jednocześnie pełnym polotu. Bliżej o „Wieczorze trzech króli" w reżyserii Dąbrowskiego pisać nie potrzebuję. Był on na zeszłorocznym konkursie szekspirowskim i wiele się przy tej okazji mówiło.

Do rzędu specjalnego repertuaru tego sezonu należały dalej niewątpliwie sztuki Wyspiańskiego, dane z racji czterdziestolecia jego śmierci. Teatr Słowackiego **wystawił** więc na tą rocznicę „Klątwę" i „Warszawiankę", Teatr Powszechny TUR-u „Protesilasa i Laodamię" oraz „Śmierć Ofelii", obie te rzeczy w reżyserii dr. Władysława J. Dobrowolskiego. W tym pojedynku skromny teatr TUR-u zwyciężył. Szczególnie „Protesilas i Laodamia" wypadła nad wyraz udanie i w stylu. Zagrana młodymi siłami miała prostotę i szlachetność właściwą mitom antycznym. Całość zrobiona spokojnie ukazała nam teatr Wyspiańskiego bliski temu, co można sobie o nim pomyśleć na podstawie lektury przy wrażliwej teatralnie wyobraźni. Pocieszyliśmy się też na tym przedstawieniu, że Wyspiańskiego można jeszcze słuchać z przyjemnością, i że jego pełen maniery młodopolskiej język jest przecież językiem wielkiego poety.

Inaczej było nieco w Teatrze Słowackiego, gdzie na ogół brakowało atmosfery. Nie wydobyła jej w dostatecznej mierze reżyseria, a gra aktorów głównych albo była powierzchownie namiętna albo niedostatecznie wewnętrznie pogłębiona i tragiczna. W „Warszawiance" p. Jaroszewska pokazała dowodnie do czego doszła w ciągu swej długiej kariery jeśli chodzi o repertuar środków aktorskich i wewnętrzną siłę mającą ożywić kreowaną postać. Pewnie dlatego niemal przez cały sezon nie grała.

Tak więc rocznica Wyspiańskiego w Krakowie, rodzinym mieście poety nie wypadła najlepiej. Rocznica ta, mówiąc nawiasem, nie zmieniła też i stosunku Krakowa do jego dzieł. Sprawa utworzenia muzeum czy coś w tym rodzaju jest dalej otwarta, chociaż już przed rokiem Teofil Trzciński poświęcił temu specjalny odczyt. „Nie odrazu Kraków zbudowano" odpowiedziało mu echo.

Jak już wspomnieliśmy, żaden sezon krakowskich teatrów po wojnie nie rozpoczął się i nie kontynuował przy podobnym akompaniamencie aplauzów prasowych. Wszyscy byli szczęśliwi, nawet „Tygodnik Powszechny" jakby z Osterwą odszedł zły duch. Z tego rozgwaru można było wysnuć, które sztuki specjalnie leżały dyrekcji na sercu, jako reprezentacyjne ideowo i artystycznie. W pierwszej połowie sezonu obok wznowionego „Wieczoru trzech króli" największy nacisk położono na „Syna marnotrawnego" Romana Brandstaetera. Nawet sam Kazimierz Zenon Skierski napisał potwornych rozmiarów reportaż z fabrykacji Warneckiego. Milionowa wystawa, tłumy statystów, feerie rembrandtowskiego światła, — drgnęły stare mury Akademii Sztuk Pięknych. Przecież bohaterem sztuki jest największy malarz świata Frycz niby drugi Meegeren, ale jawnie, włożył wiele wysiłku by oddać koloryt tak charakterystyczny dla autora „Nocnego rontu" a raczej „wymarszu arkebuzjerów" i stworzyć z postaci scenicznych żywe obrazy rembrandtowskiej wizji. Może też był to najciekawszy moment w tej sztuce. To znaczy próba przywrócenia i ożywienia świata Rembrandta na scenie. Zadanie niezwykle trudne a jedocześnie niebezpieczne, bo pozwalające z uwag widzów ocenić ich wrażliwość kolorystyczną i co wynieśli dotąd z obcowania z Rembrandtem. Oczywiście, jeśli chodzi o tych bardziej wykształconych plastycznie. Żyjemy właśnie w okresie rewelacyjnych zmian zachodzących na obrazach Rembrandta. Dzięki nowoczesnym środkom, zmieniają one zasadniczo swój dotychczasowy, tak dobrze znany koloryt i stają się zupełnie innymi płótnami. Powracamy w ten sposób do autentycznego Rembrandta. Ewokacja sceniczna Frycza jest więc ostatnim świadectwem „starego", zgaszonego pyłem wieków Rembrandta. Nie powiem, żeby była ona zbyt przekonywująca, robiła wrażenie przeciągniętej przez monachijski SOS. Całość trąciła nieco Meiningenem i Reinhardem, patronującym całemu zresztą sezonowi. Wiąże się to z ogólną koncepcją reżyserską, idącą na realistyczny przepych i sutość wystawy, jak i z samym tekstem utworu, będącego w swym gatunku scenicznym spadkobiercą luźno skonstruowanego poematu dramatycznego. Młodopolski dramat nastrojowy, neoromantycznie skłębiony, znalazł tu echo w słabo scenicznie związanej całości, coś w rodzaju kroniki życia wielkiego artysty, który nieprzekonywująco cierpi i tęskni przez wszystkie obrazy, wreszcie umiera, krzycząc niewiadomo dlaczego „Leyda, Leyda". Transpozycja tematu „Syna marnotrawnego" na osobę Rembrandta wydaje się być niesłuszna, nie w tym leży męka i wielkość jego życia, jego katastrofy i klęski. Rembrandt zawsze w swej sztuce, czy to za młodu w szczęściu czy jako starzec nad grobem, był nad podziw wielkim i bezkompromisowym artystą, który nic sobie nie miał do wyrzucenia pod tym względem. Poza tym nastrojowo, romantyczne ujęcie geniusza, który potrafił łączyć realizm z wizyjnością, nie wydaje się prowadzić do celu. Rembrandt wypadł tu sentymentalnie choć z pietyzmem potraktowany. Był to Rembrandt przeżyty i podany mieszczańsko, według recepty XIX wieku. Dlatego szkodliwy dla kształtowania kultury plastycznej i teatralnej nowej widowni.

Stefan Flukowski

P.S. W poprzednim sprawozdaniu w n-rze z dn. 18 lipca, przez przeoczenie nie podałem w katalogu granych w ubiegłych sezonach w teatrach krakowskich współczesnych sztuk polskich paru pozycji, a mianowicie: H. L. Morstina „Penelopa", A. M. Swinarskiego „Jazon" i K. Grzybowskiej „Promieniści". Trzy te tytuły znakomicie powiększają obraz wysiłku repertuarowego Krakowa w zakresie współczesnego, polskiego repertuaru.

sf.

Polemika w sprawie dekabrystów

BUNT Wołkońskich, Dołgorukich, Trubeckich, Odojewskich, a nawet nieutytułowanych naczelników ruchu, ukaranych szubienicą, (Pestel, syn gubernatora, Nikita Murawjew, syn wiceministra oświaty, grającego historyczną rolę w dziejach szkolnictwa i kultury rosyjskiej, Bestużew, Riumin, przedstawiciel pańskiej rodziny, hrabiowskiej w niektórych gałęziach) — ma być frondą drobnoszlachecką? Tu coś nie klapuje! Jeśli to odpowiada teoriom historyczno - literackim Leona Gomolickiego („Kuźnica Nr 24), to chyba mniej odpowiada prawdzie. Ale trudno... jeśli teoria nie zgadza się z faktami, „tym gorzej dla faktów!". Korzystając z szerokich uprawnień tej zasady, popróbujmy wysunąć inną nieco teorię. Gdy zaś wdziękiem tamtej jest szerokość, postarajmy się dać uogólnienie jeszcze szersze.

Bunt dekabrystów był niewątpliwie pierwszym powstaniem politycznym narodu rosyjskiego przeciw absolutyzmowi, ale zarazem ostatnią próbą przewrotu pałacowego przy pomocy gwardii, która przez poprzedzające sto lat akurat (od śmierci Piotra Wielkiego 1725) decydowała o osobie panującego, przynajmniej tego, który obejmował tron na dłużej, aż do swej mniej więcej naturalnej śmierci. Nawet katastrofa Pawła mogła nastąpić tylko przy milczącej choćby aprobacie gwardii, wobec której gatczyńskie wojsko było bez znaczenia.

Ten hybrydny charakter wypadków 14 grudnia, jako zjawiska historycznego, odbił się w haśle spiskowców „Niech żyje Konstanty i konstytucja" (co szeregi żołnierskie powtarzały: „Niech żyje Konstanty i Konstantynowa") i zadecydował o ich niepowodzeniu. Za garstką szlachetnych marzycieli nie stał nikt, nawet szerokie rzesze drobnoszlacheckie. O składzie bowiem stanu szlacheckiego w Rosji nie należy sądzić według ówczesnego i nieco późniejszego składu osobowego literatury, według pochodzenia pisarzy i sfery, w której najchętniej obraca się ich tematyka, według Puszkinów, Lermontowów, Turgieniewów, Tołstojów; jeśli mamy poszukiwać obrazu tego stanu w literaturze, musimy się zwrócić do tych mniej licznych pisarzy, którzy ze względu na swoje pochodzenie, istnienie warstwy uboższej nie tylko umieli zauważyć, ale i odmalować z właściwym im potężnym realizmem: Gogol, jeśli chodzi o szlachtę Ukrainy, Pisiemskij, wnuk szlachcica, co chodził za pługiem w łapciach („łapotnika", zgodnie z pogardliwym epitetem, użytym przy jakiejś okazji przez którąś z postaci Turgieniewa), gdy chodzi o północną Rosję.

Dekabryści byli kwiatem wybujałym, na samym szczycie wspaniałego drzewa kultury, kwiatem nie osłoniętym przed żadnym silniejszym podmuchem wichru. Ich ruch, ruch elity intelektualnej rosyjskiej, która w tym momencie całkowicie mieściła się w ramach jej elity społecznej, był w gruncie rzeczy o wiele mniej demokratyczny, niż przewroty pałacowe na rzecz Elżbiety, czy Katarzyny. Wówczas gwardia stanowiła reprezentację całej szlachty, nawet biedniejszej, której synowie zapełniali pułki petersburskie jako szeregowi. I ten drobnoszlachecki charakter masowego „gwardyjstwa" był nie bez znaczenia dla jego decyzji politycznych. W różnych okazjach, a specjalnie po wstąpieniu na tron Anny, opowiedziało się ono przeciw oligarchicznemu ograniczeniu samodzierżawja, przeciw konstytucyjnym pomysłom „wierchowników", których potomkami w prostej linii byli nosiciele najznakomitszych nazwisk wśród dekabrystów. Można by (nie ukrywam zuchwalstwa tego paradoksalnego oświetlenia) ująć bunt grudniowy jako klęskę ostatniego wystąpienia arystokracji przeciw absolutyzmowi, który obronił się znowu dzięki postawie mas szlacheckich: A trzeba dodać, że w ciągu tych blisko stu lat szczyty intelektualne Rosji mówiące po francusku, myślące kategoriami, najbardziej zaawansowanych wówczas systematów filozoficznych, wzniósłszy się niesłychanie ponad poziom kultury masowej kraju oderwały się od gruntu („biezpoczwienniki"), oderwały się nawet od dołów szlacheckich, nie tylko od dołów ludowych. Te ostatnie, na które liczyli dekabryści, wyprowadzając bataliony (teraz już wypełnione elementem chłopskim) na plac Senacki, odegrały swą rolę zgodnie ze scenariuszem zakończenia „Borysa Godunowa": narod biezmołstwujet" Długo czekać jeszcze trzeba było, aż przerwał milczenie.

K. W. Zawodziński

* * *

W swoim artykule o Bielińskim m. in. określiłem ruch dekabrystów jako ruch drobno-szlachecki. Wywołało to oburzenie p. K. W .Zawodzińskiego, który wystąpił przeciwko mnie obdarowując mnie zaszczytną rolą autora koncepcji historycznych. W rzeczywistości w danym wypadku powtórzyłem pogląd na dekabrystów ogólnie przyjęty w historiografii rosyjskiej. Nie było to głównym tematem mojej rozprawy, więc skorzystałem po prostu z gotowych koncepcji. Natomiast koncepcja p. K. W. Zawodzińskiego, który usiłuje przedstawić „bunt grudniowy jako klęskę ostatniego wystąpienia arystokracji przeciw absolutyzmowi", jest niewątpliwie oryginalna, i wymaga poważniejszego uzasadnienia, niż to autor daje w krótkiej wzmiance polemicznej. Zastanawiając się nad nią, przejrzałem stary słownik encyklopedyczny — rosyjskiego Brockhausa z 1894 roku, jak również odpowiedni rozdział z Historii Literatury Rosyjskiej XIX w." pod red. D. Owsianiko-Kulikowskiego (1908 rok) i nawet tam nie znalazłem ani śladu podobnego traktowania wypadków 14 grudnia 1825 roku. Dawne źródła w ogóle nie ujmują historii dekabrystów pod kątem widzenia klasowym. Wymienienie kilku nazwisk dekabrystów, którzy istotnie pochodzili ze środowiska arystokracji, nic jeszcze nie mówi, ponieważ poza tymi nazwiskami można przytoczyć w przeważającej większości nazwiska niearystokratyczne. Ale bezwzględnie, nie faktyczne pochodzenie uczestników i nie lista ewidencyjna ich służby wojskowej lub cywilnej stanowi o społecznym znaczeniu ruchu, który oni reprezentowali. Więcej obchodzą nas idee przez nich wyznawane i propagowane, ideały polityczne i społeczne, które zagrzewały ich do czynu rewolucyjnego.

Pestel, który był nota bene „synem zrusyfikowanego Niemca" i który służył Puszkinowi na wzór do „raznoczyńca" Hermana z „Pikowej Damy" (p. przypisy M Ciawłowskiego do tomu IV „Dzieł" Puszkina w wyd. Academia, r. 1936, str. 742) zeznawał na piśmie przed komisją śledczą: „Wydawało mi się, że główne dążenie dzisiejszego stulecia polega na walce mas ludowych z arystokracjami wszelkiego rodzaju, opartymi czy to na bogactwie, czy na prawach dziedzictwa. Uważałem, że arystokracje te staną się w końcu mocniejsze od samego monarchy, jak to się stało w Anglii, że są one główną przeszkodą w osiągnięciu dobrobytu państwowego i że mogą być usunięte jedynie powstaniem państwa republikańskiego" („Epocha Aleksandra I" istoriczeskij oczerk M. W. Downar-Zapolskogo w „Istor. Rus. Lit. XIX w." t. I, str. 41). Cytat ten jest bardzo wymowny, tym więcej, że przeciwko „arystokracjom wszelkiego rodzaju" występował tu czołowy przedstawiciel i główny ideolog dekabrystów. Drugi, nie mniej wymowny fakt miał miejsce trzy miesiące przed powstaniem 14 grudnia. Mówię tu o pojedynku i o pogrzebie Czernowa, które stały się powodem antyarystokratycznych demonstracji dekabrystów. Skromny oficer Czernow wyzwał na pojedynek w obronie honoru swojej siostry arystokratę Nowosilcewa. Pojedynek zakończył się śmiercią obydwóch uczestników. Pogrzeb Czernowa jako ofiary kaprysu arystokraty przybrał formy publicznego protestu. Krewny Czernowa i jego sekundant dekabrysta Konrad Rylejew poświęcił mu wiersz, w którym mówił:

Przysięgamy na honor i na imię Czernowa —
Nienawiść i wojna faworytom,
Drżącym niewolnikom carów!...
Jesteśmy obcy ich rodom butnym,
Jak również oni są nam obcy...

Rozpowszechniany był również przedśmiertny list Czernowa, w którym czytamy: „Nowosilcew złamał wszelkie prawa honoru, społeczeństwa i ludzkości. Niech padnę, ale niech umrze i on jako przestroga dla nędznych zarozumialców, żeby złoto i sławny ród nie szydziły z niewinności i szlachetności duszy". (S. Szubinski „Istoriczeskije oczerki i rasskazy" wyd. VI, Petersb. 1911, str. 634). E. Obolenski tak ujmował sens demonstracji pogrzebowej: „Wszyscy, kto tylko kierował się myślą i uczuciem, złączyli się tu w milczącej procesji i ciszą solidaryzowali się z tym, który swoją ofiarą wyraził ogólną ideę; rozumieli ją wszyscy — świadomie i podświadomie jako obronę słabego przed silnym, skromnego przed butnym". (M. Neczkina „Gribojedow i dekabrysty" w „Lit. Nasledstwie" k. 47/48, Izdat. Akademii Nauk SSSR, Moskwa, 1946, str. 99).

Przytaczam tu te dwa charakterystyczne fakty, ponieważ są one związane z dwoma leaderami ruchu dekabrystów: wodzem Związku Południowego, Pestlem i czołowym przedstawicielem radykalnych kół Związku Północnego, poetą-dekabrystą o wielkiej popularności i rozgłosie Konradem Rylejewem (który, nawiasem mówiąc, był synem zubożałego szlachcica, rządcy księcia Galicyna). Fakty te są znane i nie wymagają komentarza.

Zwróćmy się teraz ku ustalonym koncepcjom historycznym. Lenin określił dekabrystów, jako grupę „rewolucjonistów szlacheckiego, ziemiańskiego pochodzenia" („Dzieła" t. XV „Pamięci Hercena" str. 464), nazywając ich przedstawicielami „pierwszego pokolenia" rewolucji rosyjskiej. Po przytoczeniu tego określenia radziecki historiograf ruchu dekabrystów, M. Neczkina pisze w artykule „Dekabrysty" (na str. 691-4 t. III Małej Encyklopedii Radzieckiej); „Rozwój stosunków przemysłowo-kapitalistycznych rozkładał od zewnątrz gospodarkę pańszczyźnianą, i w Rosji w epoce dekabrystów już dojrzewają przesłanki rewolucji burżuazyjnej: de-

kabryści są jej pierwszymi zorganizowanymi przedstawicielami... Likwidacja pańszczyzny była czołową, zasadniczą kwestią rodzącej się rewolucji burżuazyjnej w Rosji. Ale na straży pańszczyzny stał wierny sprzymierzeniec polityczny — jedynowładztwo; zniszczyć ich można było tylko razem. Centrum ideologii rewolucyjnej dekabrystów stanowiły dwa zasadnicze zagadnienia rewolucji burżuazyjnej w Rosji; obalenie pańszczyzny i walka z jedynowładztwem. Pod względem składu socjalnego dekabryści byli przeważnie szlachcicami, ziemianami niezamożnymi („sredniej ruki"), a w ogóle była wśród nich zrujnowana szlachta, która żyła z pracy rąk..."

W jakim stopniu pogląd ten na społeczne znaczenie i skład socjalny ruchu dekabrystów jest ogólnie przyjęty w Rosji, można sądzić np. z następującej wzmianki o dekabrystach, umieszczonej w podręczniku historii literatury N. Pospiełowa, P. Szablikowskiego i A. Zierczaninowa dla VIII klasy średniej szkoły radzieckiej (wyd. VI, Uczpedgiz, Moskwa 1946; str. 228):

„W swojej większości dekabryści należeli do tej części stanu szlacheckiego, która nie posiadała wielkich majątków ziemskich i nie zajmowała przy dworze carskim mocnego stanowiska. Ale byli oni najbardziej wykształconymi przedstawicielami swej klasy. Był to kwiat inteligencji szlacheckiej której wystąpieniu politycznemu W. I. Lenin nadawał wielkie znaczenie w historii ruchu rewolucyjnego w Rosji".

Leon Gomolicki

PRZEGLĄD PRASY

ZARÓWNO odbywający się jeszcze w chwili, gdy piszę te słowa Międzynarodowy Kongres Intelektualistów w Obronie Pokoju, który poza wszystkim ma jeszcze dla nas to doniosłe znaczenie, iż potwierdza nasz udział w kulturze Europy nie tylko z tytułu tradycji, ale i z racji naszej pracy od roku 1945, jak i Wystawa wrocławska, gdzie niewątpliwy sukces odnieśli nasi malarze, graficy i architekci owymi metodami i stylem artystycznym, o którym ostatnio z lubością się mawia, iż leżą w dziedzinie „sztuki nieludzkiej", sukces „Ostatniego Etapu" w Zlinie, powodzenie wystawy dzieł Cybisa i Czyżewskiego na weneckim biennale, czy wreszcie naszej nowoczesnej muzyki wykonywanej w konserwatoriach i filharmoniach europejskich — wszystko to świadczy o nieustannym i korzystnym rozwoju sztuk w naszym kraju, o ich rozwoju wielokierunkowym i zgodnym zarówno z tradycjami humanistycznymi jak i z tradycją wysokiego poziomu technicznego.

Jedna tylko literatura polska budzi wciąż jeszcze sądy sprzeczne, i to w dodatku tylko wewnątrz kraju. Choć przełożono stosunkowo niewiele polskich książek współczesnych na języki obce, jednak te wszystkie pozycje, które zostały przetłumaczone spotykały się z pochlebną opinią cudzoziemskich odbiorców. Nasza prasa literacka w porównaniu z jednym zdaje się tylko literackim pismem istniejącym w Wielkiej Brytanii, a nawet z wieloma tygodnikami (wyłączam tu miesięczniki) paryskimi, świadczy niewątpliwie na naszą korzyść. Niechże czytelnik nie sądzi, że przemawia przeze mnie megalomania narodowa. Nie. Sytuacja sztuk i literatury w Polsce jest bardzo korzystna w porównaniu z ich sytuacją i stanem w innych krajach.

Po długich dyskusjach i bojach, wbrew malkontentom, uznano wreszcie jakość i treść naszej literatury współczesnej, co wynika niezbicie z nagrody „Odrodzenia", gdzie jako wybitne oznaczono w końcu dwadzieścia dwie pozycje prozy artystycznej i krytycznej. Jest to, jako plon jednego tylko roku, wynik bardzo pocieszający.

Mimo to istnieją nadal niezadowoleni, którzy ostro krytykują treść życia literackiego w Polsce, zawartość czasopism literackich, artystyczne metody malarzy, muzyków etc. Wydaje mi się, że dobrze się dzieje, iż tacy ludzie są, że są niezadowoleni, że nie ustają w krytykowaniu. Krytyka, sprzeciw, niezadowolenie, chęć zmiany istniejącej sytuacji — wszystko to są okoliczności, które bardziej sprzyjają rozwojowi sztuki niż kadzidła i pochwały. Tylko dyskusja, choćby najbardziej zacięta, może dać jakieś wyniki. Myślę, że niezgoda w sztuce buduje, a dopiero zgoda rujnuje. Ale to są moje osobiste przekonania.

Niewątpliwie jednak dyskusja i niezgoda muszą być utrzymane w granicach troski o sztukę — o jej treść, o nierozłączną od tego formę. Niewątpliwie ci, którzy wołają do naszych pisarzy i do redakcji pism literackich „Nie ma zgody!" powinni pilnie strzec się, by ich krytyka i niezadowolenie nie mogły być położone na karb demagogii, by przypisywano je wyłącznie trosce o meritum sprawy. Jesteśmy świadkami, iż nie dzieje się tak zawsze. Oto w nr. 32 „Nowin Literackich" Roman Karst wystąpił z artykułem „O dobre obyczaje w polemice", gdzie zarzuca się Teofilowi Wojeńskiemu, iż publicysta ten w krytyce naszej literatury współczesnej nie ustrzegł się sformułowań demagogicznych. Wojeński m. in. atakował „Nowiny Literackie" za ich umiarkowany zresztą i potrzebny w tym piśmie eklektyzm, dotyczący zagadnień literackich. Myślę, że gwałtowna wypowiedź Wojeńskiego, zamieszczona w nr. 4—5 „Lewego Toru" i potępiająca zarówno literaturę współczesną w całości, jak i zawodową organizację pisarzy polskich i naszą prasę literacką, była nieco sumaryczna. Nie jest zgodne z rzeczywistością to stwierdzenie Wojeńskiego, które zresztą przytacza Karst: „Nasz ruch literacki wlecze się w najlepszym razie w ogonie zachodzących przeobrażeń". Nie, Wojeński nie ma racji w tym wypadku. Gdyby nasz ruch literacki istotnie wlókł się w ogonie przeobrażeń, to jury „Odrodzenia", któremu napewno nie można zarzucać „motylowego bujania między komunizmem i faszyzmem", jak to zarzuca Wojeński „Nowinom", nie miałoby co nagradzać ani wyróżniać.

Artykuł Wojeńskiego jest wynikiem nieporozumienia, które każe automatycznie wiązać sprawy kultury ze sprawami zmian w strukturze polityczno - ekonomicznej. Podkreślam słowo: „automatycznie". Cały ten problem, który stanowił przez wiele, wiele miesięcy treść polemik, toczonych w „Kuźnicy" (Kott — Żółkiewski, dyskusja o prozie etc.), celnie i trafnie ujęty został kiedyś w świetnym studium komunistycznego działacza kulturalnego, pisarza włoskiego Vittoriniego, w studium p. t. „Kultura i polityka". Studium to było referowane przed kilku miesiącami w „Kuźnicy", a jak sądzę winno być właściwie przetłumaczone w całości na polski. Vittorini podkreślając nierozerwalność polityki i kultury, przestrzega przed utożsamieniem tych dwuch tak bliskich sobie dziedzin życia ludzkiego, przed operowaniem w kulturze instrumentami polityki.

Wzorem należytego traktowania literatury przez krytyka, którego pozycje ideologiczne, społeczne i polityczne bliskie są zarówno nam, jak Teofilowi Wojeńskiemu, może być praca Georga Lukcsa o Tomaszu Mannie, zamieszczona w „Twórczości" lub essay o estetyce Nietschego, zamieszczony w „Myśli Współczesnej". Istnieje również klasyczna już dziś historia literatury niemieckiej Mehringa — wszędzie tam sprawy literatury traktowane są z maksymalną ostrożnością. Cóż łatwiejszego, czytając dziś wypowiedzi Flauberta o Komunie Paryskiej, oświadczyć, iż ta literatura „wlecze się w ogonie zachodzących przeobrażeń?" Wydawałoby się, że Tołstoj z całą swoją filozofią „wlókł się w ogonie zachodzących przeobrażeń". A przecież Lenin w swoich pracach o wielkim twórcy „Wojny i pokoju" („Lew Tołstoj jako zwierciadło rewolucji rosyjskiej", „Lew Tołstoj i współczesny ruch robotniczy", Tołstoj i walka proletariatu" etc.), nie ukrywając pomyłek Tołstoja pisze przede wszystkim o wielkim pisarzu, którego zwycięstwa i błędy winien sobie uświadomić czujny czytelnik. Piszę to nie poto, by oskarżać Wojeńskiego, że nie dostrzegł w Polsce literackiej lat 1945—48 Tołstojów. Tołstojów nie mamy, ale mamy różnorodne, pełne sprzeczności i barwy życie literackie o takim nasileniu, jakiego nie znają dziś dawne kraje kultury i cywilizacji, a jakiego my nie znaliśmy między 1918 i 1939 rokiem. Dość wskazać na różnicę w nakładach tych samych „Nowin" i dawnych „Wiadomości Literackich", o których wspomina Wojeński, dość wspomnieć o tym, że przeciętny nakład książki w Polsce wzrósł pięciokrotnie, by stwierdzić, iż wszystko to byłoby niemożliwe, gdyby literatura „naprawdę" wlokła się w ogonie zachodzących przeobrażeń". Nie. Literatura idzie w kierunku tym samym, w którym zdąża nasza ekonomia i polityka, nasz układ społeczny i życie umysłowe. Tylko, że literatura dążąc w tym samym kierunku porusza się nie z pomocą motoru, lecz mózgu i serca. A tych jak wiadomo zmechanizować nie należy. Inaczej bowiem i krew, i myśli naszej literatury okażą się sztuczne.

ph.

TREŚĆ NUMERU 34—35

Romain Rolland — **Rola pisarza w dzisiejszym społeczeństwie;** Maksym Gorki — **Do Kongresu Obrony Pokoju;** Louis Aragon — **Kongres w Bazylei;** Seweryn Pollak — **Pisarze polscy w obronie kultury;** *** — **Polska delegacja na Kongresie Wrocławskim;** Mieczysław Jastrun, Antoni Słonimski, Adam Ważyk — **Wiersze;** Włodzimierz Sokorski — **Wspólnota kulturalna narodów;** Stefan Żółkiewski — **Dygresje wrocławskie;** Leon Gomolicki — **Dzisiejszy dzień literatury radzieckiej;** Ilia Erenburg — **Europa;** Jan Dembowski — **Akademia Nauk ZSRR;** *** — **Delegaci radzieccy;** *** — **Delegaci USA na Kongresie;** Julian Huxley — **Zmyślony wywiad;** Mieczysław Choynowski — **Julian Huxley; Joseph Needham;** *** — **Lista delegacji brytyjskiej;** *** — **John Desmond Bernal;** *** — **Sir John Boy D-Orr;** Maciej Żurowski — **Paul Eluard;** Paul Eluard — **Z poematów politycznych** (przeł. Jan Kott); **Do Pabla Picasso** (przeł. Stefan Flukowski); Stanisław Brucz — **Vercors;** Louis Aragon, Leon Moussinac, Georges Pillement, Jean Marcenac — **Wiersze** (przeł. Jerzy Zagórski); Lidia Łopatyńska — **Armand Salacrou;** *** — **Wrocławska wieża Babel; Redakcyjny Komitet** ***; Włodzimierz Sokorski — **Kulturalna jedność narodu; Comite Directeur de „Kuźnica"** — ***, Sophie Nałkowska — **Miettes critiques;** Alexandre Watt — **Quelques vues sur la litterature polonaise d'aujourd'hui;** Jarosław Iwaszkiewicz — **Invitation au Congres de Wroclav;** Jorge Amado — **Małpia plantacja;** Pablo Neruda — **Opowiadanie;** Graham Greene — **Brat;** Paweł Hertz — **Myśli o literaturze niemieckiej;** Stanisław Wygodzki — **O delegacji niemieckiej;** Gerhart Pohl — **Literatura niemiecka po r. 1945;** Aleksander Jackiewicz — **Pozdrowienia dla kolegów z Wiednia;** Zofia Lissa — **Hans Eisler;** Stefan Jarociński — **Na drogach współczesnej muzyki polskiej;** Leon Schiller — **Suprema lex;** Leon Pasternak — **Poezja moja;** Konstanty Grzybowski — **Wolność kultury;** Wanda Roszkowska — **O bibliotece im. Bandtkiego w Cieplicach;** Kazimierz Piwarski — **Głos sprawiedliwego Niemca o polskości Śląska;** W. B. Lewicki — **Egzamin dojrzałości filmu światowego;** Eugeniusz Cękalski — **Film a sprawa pokoju; Przegląd prasy; Rysunki M. Piotrowskiego.**

Redaguje: Zespół „Kuźnicy". Wydaje: Spółdzielnia Wyd. „Czytelnik"
REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ŻÓŁKIEWSKI.
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13
Adres Redakcji i Administracji: ul. Piotrkowska Nr 96. — Telefon 204-78
CENA OGŁOSZEŃ: Za 1 mm na 1 szpalte 40 złotych.
WARUNKI PRENUMERATY:
Miesięcznie zł 80.—; kwartalnie zł 240.—; półrocznie zł 480.—; rocznie zł 960.—
Należność za prenumeratę należy wpłacać do P. K. O. konto VII—567 „Prenumerata Kuźnicy"
Drukarnia Nr 4 Sp. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik" — Łódź, Zwirki 2.
D-028541

Noty

Cenny nabytek

Wychodzące w Paryżu katolickie pisemko „Polska Wierna" podało z triumfem, że „siedmiu spośród ośmiu synów Martina Bormanna, szarej eminencji reżimu hitlerowskiego i wielkiego wroga Kościoła, przeszło na katolicyzm".

„Szara eminencja" zniknęła, jak wiemy, z horyzontu po zdobyciu Berlina, sądzona była zaocznie w Norymberdze i sprawiedliwie skazana na karę śmierci.

Nie wątpimy, że siedmiu młodych Bormannów, wychowanych przez tak znakomitego ojca, i po przejściu na łono Kościoła katolickiego potrafi godnie podtrzymać splendor swego nazwiska.

bd.

Czy o to chodziło?

W Nr. 33 **„Tygodnika Warszawskiego"** niejaki p. **bor** opowiada historyjkę o pewnym „wolnomyślicielu", z którym jechał razem

samolotem do Poznania. W czasie podróży nastąpiły zaburzenia atmosferyczne przy czym „nie raz miało się wrażenie, że samolot spada na ziemię". „Wolnomyśliciel" zawołał wówczas: „Boże, ratuj!", a gdy niebezpieczeństwo minęło, rzekł do p. **bora: —** „Wie pan, dwa razy w życiu się modliłem: raz w obozie koncentracyjnym, a drugi raz dzisiaj".

Z przygody, opowiedzianej przez p. **bora** należałoby wysnuć wniosek, że źródłem uczuć religijnych i potrzeby modlitwy jest — **strach.** Religiolodzy świeccy poświęcają temu zagadnieniu obszerne i ciekawe rozważania. Ale czyżby tego samego chciał dowieść również bogobojny „Tygodnik Warszawski"?... Dziwne.

bd.

Co kogo interesuje?

Jak podaje tygodnik „Time", wybitni dziennikarza londyńscy opracowali spis najbardziej aktualnych i ważnych zagadnień,

które wymagają niezwłocznego omówienia w prasie.

W tym spisie znajdujemy m. in. tematy następujące: opis przedpotowego zwierzęcia-potwora, z odpowiednimi ilustracjami; opis zniszczeń, wywołanych przez zrzucenie pierwszej bomby atomowej na Nowy Jork; zeznania świadków w związku z jakimś wydarzeniem, równorzędnym co do znaczenia z ukrzyżowaniem Chrystusa.

Dziennikarze londyńscy — jak wynika z powyższego — mają bardzo osobliwe zainteresowania i pomysły. Czyżby nie było już innych „zmartwień" nad Tamizą i jej dopływami?...

bd.

Czego chciał Mickiewicz

O tym dowiadujemy się z wiersza Jana Pierzchały p. t. „Wyznania" zamieszczonym w nr. 161—162 tygodnika „Wieś":

Gdyby tak jednak rewolucja,
Gdyby tak jak chciał Mickiewicz.
Światem jak karuzelą zahuśtać
I pięścią na odlew zdzielić.

— — — — — —

Pomyśleć. Gdyby tak jednak rewolucja.
Gdyby tak jak chciał Mickiewicz.
Rozewrzeć naraz usta
I jak z armaty wystrzelić.

Okazuje się więc, że Mickiewicz chciał światem jak karuzelą zahuśtać, pięścią na odlew, zdzielić, rozewrzeć naraz usta i jak z armaty wystrzelić.

O niezwykłych właściwościach geniuszu i charakteru wieszcza czytaliśmy wiele, mimo to jednak strofy Jana Pierzchały brzmią dla nas rewelacyjnie.

Z. L.

Zasługi wydawców

Edycja zbiorowa dzieł Bolesława Prusa, zapowiedziana przez „Książkę", została rozpoczęta wydaniem tomu pierwszego (a dziewiątego w kolejności tomów wydania zbiorowego) zawierającego „Placówkę".

Również nakładem „Książki" ukazał się pierwszy po wojnie wybór opowiadań Lwa Tołstoja pod tytułem „Śmierć sędziego Gołowina". Należy jak najrychlej wydać wybór dzieł Tołstoja, Dostojewskiego, Turgieniewa, Gogola, Leskowa, Sałtykowa - Szczedryna.

„Wiedza" wierna swojej dotychczasowej polityce obfitego wykorzystywania stałego zainteresowania szytelników klasyczną literaturę francuską, tak bardzo zaniedbaną przez nasze wydawnictwa, dała nam ostatnio znakomitą „Gospodę pod Królową Gęsią Nóżką" i ks. Prevost „Hisotrię Manon Lescaut". Zarówno France, jak i większość klasyków Francji, była przyswojona językowi polskiemu (Wybór dzieł Anatola France'a w edycji mortkowiczowskiej oraz cała Biblioteka Boya). Dziś wystarczyłoby przedrukować te książki, nieznacznie tylko uzupełniając listę tych, które posiadamy w przekładzie Boya.

Wśród wznowień polskiej prozy międzywojennej należy powitać z uznaniem pojawienie się świetnej „Młodości Szopena" Adolfa Nowaczyńskiego (bardzo starannie opd względem graficznym wydane przez „Czytelnika") oraz Jana Parandowskiego „Król życia", powieść biograficzną o Oskarze Wilde, wydaną przez „Wiedzę".

W odpowiedzi „Tygodnikowi Powszechnemu", który zarzuca mi na ostatniej kolumnie w ostatnim numerze, iż pisząc o ukazaniu się wszystkich świetniejszych dzieł Sienkiewicza pominąłem „Trylogię", odpowiadam, że zaliczam „Trylogię" do arcydzieł prozy polskiej, że istotnie „Trylogia" nie jest wydana, że moim zdaniem winna być wydana, że moim zdaniem winna być wydana jak najrychlej, że najpewniej to się stanie, bowiem wiadomo nam o przygotowywanym wydaniu zbiorowym. Nie wydano „Trylogii" dotąd zapewne dlatego, że nie jest ona, jak mi się zdaje, przedmiotem lektury szkolnej, co „Tygodnik Powszechny", rzeciwny chyba dyskryminacjom narodowościowym i przypomniawszy sobie jak to zagadnienie było rozwiązane w „Trylogii", powinien raczej pochwalać.

ph.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Marceli Handelsman: Adam Czartoryski, tom I. Nakł. Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, Warszawa 1948, str. XX i 334.

Maksymilian Meloch: Sprawa Włościańska w powstaniu listopadowym. Wyd. Państw. Instytutu Wydawn. Warszawa, 1948, str. 212.

Dr. Th. H. van de Velde: Zniechęcenie w małżeństwie, Wyd. J. Przeworskiego, Warszawa, 1948, str. 319.

Janusz Korczak: Król Maciuś I. Wyd. J. Mortkowicza, Warszawa — Kraków, 1948, str. 320.

Maria Dąbrowska: Przyjaźń. Wyd. J. Mortkowicza, Warszawa — Kraków, 1948, str. 63.

Maria Dąbrowska: Dzieci ojczyzny. Wyd. J. Mortkowicza, Warszawa — Kraków, 1947, str. 187.